POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 29-go lipca 1944r.*** — **Rok VI. Nr. 30**

JEŃCY Z NORMANDII

Ostatnio polski stan posiadania na tych wyspach znacząco się podniósł. Stało się to niespodzianie i z nieoczekiwanej strony. Inwazja Europy już w pierwszych dniach i tygodniach zagarnęła wielką masę rdzennych Polaków, siłą wepchniętych w mundur niemiecki, siłą przymuszonych do służby w niemieckich szeregach. Można powiedzieć, że inwazja nie tylko zwolniła skrawek uciemiężonego kontynentu, ale dała już wolność cząstce narodu polskiego, zdjęła z niej haniebny przymus, obaliła niebywały gwałt na niej dokonany.

Jest to wydarzenie radosne i my Polacy wolni, żyjący na wolnej ziemi, uczestniczymy w nim całym sercem. Ale jest to jednocześnie wydarzenie, odsłaniające wielką tragedię zbiorową. Chyba żaden naród nie przeżywa jej w takim stopniu i rozmiarze. I opinia świata, podobnie jak wielu rzeczy polskich — nie rozumie i nie ogarnia w pełni stopnia i rozmiaru tej tragedii.

Przede wszystkim świat nie pamięta, że z woli traktatów pokojowych w granicach Rzeszy Niemieckiej została po tamtej wojnie mniejszość polska, grubo przekraczająca milion ludzi. Walczyła ona rozpaczliwie a daremnie o najbardziej oczywiste, elementarne prawa dla siebie wtedy, gdy mniejszość niemiecka cieszyła się w Polsce pełną swobodą rozwoju i — przygotowywała się do odegrania w nadchodzącej wojnie roli "piątej kolumny", roli szpiegów, prowokatorów, sabotażystów.

Świat nie pamięta o tamtym, ale mało wie także o tym, że Niemcy jednostronnym postanowieniem uznali całą Polskę zachodnią za część państwa niemieckiego. W ten sposób siłą wtłoczyli w jego granice około dziesięć milionów Polaków. Dekret ogłoszony przez ministra spraw wewnętrznych Rzeszy dr. Fricka w listopadzie 1940 r. uznał owe dziesięć milionów Polaków, Polaków z urodzenia, z mowy, z religii — za Niemców. W ślad za tym poszły rozporządzenia o *"Deutsche Volksliste"*, zmuszające Polaków do przyjmowania obywatelstwa niemieckiego, przyszedł wieloletni terror, gwałt, nadużywanie brutalnej siły. A gdy przed Niemcami stanęło groźne widmo braku rezerw ludzkich — spadł pobór do niemieckiego wojska. Nie było przed nim ratunku, bo Niemcy stosowali osławioną zasadę odpowiedzialności zbiorowej: za ojca, syna, brata płaciła cała rodzina: rodzice, rodzeństwo, żony i dzieci.

Jest to pogwałcenie praw Boskich i ludzkich. Jest coś szatańskiego w tym pomyśle, aby stawiać braci przeciw braciom. Jest w tym bezprawiu, w tym cynicznym sponiewieraniu praw międzynarodowych coś, co wyłącza Niemców z obywatelstwa europejskiego, pozbawia ich przynależności do świata europejskiej kultury.

Miałem niedawno możność rozmawiania z wielu Polakami, byłymi żołnierzami *"Wehrmachtu"*, wziętymi do niewoli przez wojska anglo-amerykańskie. Spotkanie z nimi jest wielkim przeżyciem, poruszającym do głębi. Ale w bezpośrednim zetknięciu mniej dochodzi do głosu tragiczność doli, ich własna i im podobnych, którzy liczą się dziś na setki tysięcy. Gdy się z nimi mówi, gdy się słucha ich opowiadań, patrzy w ich oczy, odsłania się przede wszystkim co innego — słabość Niemców i hart, odporność, niezmożona siła duszy polskiej.

Bo pomyślcie, co można sądzić o armii, w której służbę frontową pełnią żołnierze, wcieleni do szeregów w marcu i kwietniu tego roku? Osobiście rozmawiałem z wielu takimi, którzy byli w wojsku niemieckim po trzy, cztery miesiące i dostali się do niewoli na wybrzeżu normandzkim.

Bo osądźcie sami, co można myśleć o armii, która przemocą rekrutuje ludzi wrogiej narodowości, obcego języka — w wieku przedpoborowym? Nie do rzadkości wśród jeńców-Polaków należą chłopcy, którzy mieli szesnaście, siedemnaście lat, gdy ich wcielono do szeregu. Przeważa wśród nich rocznik 1924-26.

Wszyscy bez wyjątku, z którymi mówiłem stwierdzają złe odżywianie w armii niemieckiej, z reguły ograniczające się do kapusty i na pół zgniłych kartofli w łupinach. Wielu z nich z własnego doświadczenia stwierdzało niedostateczną ilość min i amunicji artyleryjskiej. Wielu z nich brało udział w zakładaniu pól minowych, na których obok min prawdziwych kładło się nieszkodliwe blaszki. Wielu widziało pola minowe . . . bez min, których groźba sprowadzała się do "groźnego" płotka i tabliczki z "groźnym" ostrzeżeniem.

Z wielu opowiadań widoczne jest szybkie rozpadanie się oddziałów, niski poziom moralny niemieckiej kadry oficerskiej i podoficerskiej. W wielu przypadkach dowódcy ponoszą odpowiedzialność za dostanie się podkomendnych do niewoli.

W przeciwieństwie do słabości maszyny, która ich schwyciła w tryby i usiłowała przemielić — ci byli żołnierze armii niemieckiej stanowią dowód siły charakteru. Są to Polacy wysokiej próby, Polacy pełnej i bezspornej wartości. Haniebne oszczerstwo o ich rzekomym "prohitleryźmie", z czyjegoś ciemnego poduszczenia puszczone w świat przez pewne pismo — staje w pełnym, jaskrawym świetle, gdy się zważy, że wielu z nich, większość, nie zna języka niemieckiego, rozumie ledwie kilka czy kilkanaście słów komendy. Są to chłopcy, którzy przestali chodzić do szkoły polskiej, w chwili wybuchu wojny, gdy mieli lat trzynaście, a do niemieckiej nigdy nie chodzili.

Aż zdumiewa fakt, że Niemcy ryzykują posiadanie w obrębie swego walczącego zespołu ludzi tak obcych, wrogich, wewnętrznie niepozyskanych a nadto po prostu niedostępnych przez nieznajomość języka. Musi się to zemścić na spoistości ich siły zbrojnej. Już zemściło się w Normandii i może zagrać jeszcze na innych frontach. Są Polacy — niemieccy żołnierze z przymusu — w Belgii, Holandii, Grecji, we Włoszech; jakiś młody chłopiec mówił mi, że ma 54- letniego ojca służącego w Norwegii.

"Nie wierzę, żeby który z naszych strzelał do Amerykanów" — powiedział do mnie jeden z jeńców. Inny opowiadał, jak pod groźbą browninga wymierzonego w plecy musiał strzelać, więc strzelał tak, by chybić, to parę metrów za bardzo na prawo, to parę metrów zbyt na lewo. Na każdym kroku, przy każdej nadarzonej okazji uprawiali taki sabotaż: nie dokręcali zapalników do min, zagważdżali działka przeciwpancerne, paraliżowali wysadzanie dróg i mostów.

Wszyscy z napięciem czekali na sposobność ucieczki, na możność "praśnięcia" znienawidzonej broni o ziemię. Pomagali losowi, jak mogli: zostawali w tyle, kryli się po jamach. Do niektórych dotarły wezwania Rządu nadawane przez radio, do innych ulotki z tym wezwaniem zrzucane z samolotów sojuszniczych. Jeden z nich znalazł kilka takich ulotek i pokazał kolegom. Sam jeden, gdy inni nie chcieli ryzykować, z chustką w jednej ręce, z ulotką w drugiej szedł ku pozycjom amerykańskim. Sekundy dłużyły się jak godziny, zamierało w nim serce, gdy nagle z przeciwnej strony usłyszał zawołanie: "Polak?" i mógł odkrzyknąć całą siłą duszy i głosu: "Polak! Polak!" Takich spotkań z żołnierzami amerykańskimi polskiego pochodzenia było wiele.

Uszczęśliwieni darem wolności mało mówią o swoich cierpieniach, o upokorzeniach, których doznali, o poniżeniu ludzkiej i narodowej godności, które było ich chlebem powszednim. O tym, jak lżono ich za polskość, jak zakazywano im rozmawiać we własnym języku, nawet wtedy, gdy po niemiecku nie umieli, jak karano za zasłyszane słowo polskie, jak próbowano zmuszać do pisania listów niemieckich do domu, jak nie dopuszczano do nich pociechy religijnej.

Jeden z nich mówił mi, że wbrew zakazowi chodził w niedzielę do kościoła francuskiego. Kosztowało to "trzy dni ścisłego", ale chodził. "A co wieczór modliłem się pod kocem, jak mnie matka nauczyła". Wielu z nich przyniosło przez kraje Europy, przez ogień frontu ubogie książeczki do modlitwy, medaliki i szkaplerze. Teraz, gdy jest im dana wolność, wszyscy bez wyjątku idą do spowiedzi. Traf tak zrządził, że słucha jej młody ksiądz, który służył w korpusie Rommla i dostał się do niewoli w Afryce. Rozumie ich lepiej, patrzy w ich dusze jaśniej, niż ktokolwiek.

Na tę ziemię przynieśli ci jeńcy uwolnieni z niewoli niemieckiej powiew z dwu ojczyzn Polaków: z Polski i z Francji.

Wszyscy mówią o dobrym odnoszeniu się Francuzów, o tym, że słowo *Polonais* — Polak ma znowu na ziemi francuskiej siłę czarownego zaklęcia, które otwiera serca ludzkie. Bez tej życzliwości trudno by było wytrzymać. Wielu pomogła ona nie tylko dożywić się, ale i uciec. Jeden z jeńców opowiadał, że ksiądz francuski ukrywał go przez całą dobę, a potem ułatwił poddanie się Amerykanom. Inny, który zresztą nie mówi po niemiecku, utrzymuje z przekonaniem, że "mowa francuska, to lekka mowa".

Polska jest żywa, prawie dotykalna w ich pamięci i w ich słowach; niektórzy jeszcze w kwietniu tego roku byli na urlopach w kraju. Z ich słów wyjawia się cierpiąca, udręczona, ale wytrwała, twarda, jak oni sami. Jeden z nich idąc do wojska żegnał się z ojcem w więzieniu: "Strażnik-Polak, co był przy tym — opowiada — płakał, ale mój tata nie płakali. I ja też nie. Powiedziałem ojcu, żeby patrzał za sobą, a ja swój rozum mam i zabić się nie dam". Wuja innego Gestapo zabiło na progu domu, żona została z czworgiem dzieci, "mieszka teraz w jamie, gorzej świni". Inny jeszcze, nauczyciel ze Śląska, przeszedł przez obóz w Dachau, przez katorgę kamieniołomów w Manthausen, wobec których niewola egipska nie wydaje się niczym strasznym.

W tej chwili Polacy, żołnierze armii niemieckiej, wzięci do niewoli w Normandii, znajdują się znowu pod opieką Rządu Rzeczypospolitej, znowu są pełnoprawnymi obywatelami swego kraju.

My żołnierze Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii gorąco ich witamy na tej ziemi wolnej i gościnnej. Zapewniamy o naszym zrozumieniu dla ich przejść i cierpień, o głębokiej naszej solidarności z tą mocą odporu i wytrwania, jakiej złożyli wymowne, piękne, prawdziwie polskie świadectwo. Pragniemy wszyscy, aby im tu było jak najlepiej, aby czuli, że im pierwszym było dane wrócić " na ojczyzny łono".

TYMON TERLECKI

DROGA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO

Ślad polskiego czołgu na ziemi włoskiej, gdzie nasza broń pancerna okryła się nową chwałą w bitwie o Ankonę



Szkic sytuacyjny

WRZENIE W RZESZY

Zamach dokonany na Hitlera nie mógł chyba być inscenizowany. Tego rodzaju sztuczek nie wyprawia się w piątym roku wojny, kiedy wojska niemieckie ustępują na froncie wschodnim i kiedy klęska zagląda Rzeszy w oczy coraz wyraźniej. Zamach był wynikiem spisku, którego rozgałęzienia były przypuszczalnie liczniejsze, aniżeli zrazu się przypuszczało. Spisek ten nie powstał wczoraj, ale zapewne już w okresie Stalingradu. Dla bystrzejszych oficerów było rzeczą jasną, że Niemcy idą do klęski. Jedni zostali usunięci, inni z tych czy innych względów usunęli się od prowadzenia wojny w sytuacji, w której rozkazy Hitlera dalej są wyrocznią.

Przesuwanie i usuwanie generałów dowodziło, że Hitler napotyka na coraz większe opory wśród sztabu i wśród wyższych dowódców, że ich widzenie rzeczy jest coraz bardziej czarne. Generałowie, którzy dostali się do niewoli sowieckiej zaczęli uprawiać już swoją politykę. Nie było by rzeczą dziwną, gdyby pewni dowódcy woleli bić się słabo, albo, jak to powiadają w teatrze, markować tylko opór. Najwidoczniej takie podejrzenia musiały dawno powstać w umyśle tego sadysty i kata, jakim jest Himmler. Pewne uwagi na ten temat znalazły się w dramatycznych apelach po zamachu. Dowodziło by to, że istotnie pochód sowiecki na wschodnim froncie został ułatwiony przez słaby opór niemiecki i przez wyraźne unikanie walki przez pewnych dowódców.

Oczywiście, Himmler z gustem stłumił rewoltę. Oczywiście, potoczyły się głowy, potoczą się nowe, t.zw. "noc długich noży" czyli 30-ty czerwca 1934-ego roku zblednie wobec obecnych mordów. Ale nie uratuje to sprawy. Gestapo nie poprowadzi armii.

Oto jest właśnie ośrodkowe zagadnienie i przed nim Hitler uciec nie może. Sztab musi pracować, armia musi walczyć. Dokonywanie czystek i przesunięć w tej chwili, to zabieg bardzo ryzykowny.

Wr. 1934-ym Hitler złożył w ofiarze armii głowy Röhma i towarzyszy. Nie chcieli oni przecież dokonywać zamachu na Hitlera. Chcieli natomiast wywołać rewoltę lewego skrzydła i połamać kości "Reichswehrze". Hitler postanowił zyskać sobie jej łaski i poświęcił Röhma. Dzisiaj armia sięgnęła — na razie nieśmiało — po głowy Hitlera i kolegów. Himmler w odpowiedzi na to uderza w te ośrodki "Reichswehry", które podejrzewa. Idzie on pod hasłem rewolucji radykalnej. Czyli — chce po części spełnić dzieło Röhma. Ley woła, że trzeba "rżnąć te świnie błękitnej krwi". Nazizm wraca do swoich rewolucyjnych założeń. Doły przychodzą raz jeszcze w Rzeszy do głosu. Przygotowanie społeczeństwa niemieckiego do rewolucji odbywa się w pełni. Radykalizacja postępuje. Do starcia między "białymi" a "czerwonymi" może dojść w Rzeszy w chwili, gdy armia czerwona wejdzie na teren Rzeszy. Himmler i Hitler przygotowują teren — pod komunizm i rewoltę dołów. Takie są paradoksy sytuacji niemieckiej. Takie są możliwości tego niesamowitego kłębowiska, które zwie się Rzeszą.

Jakkolwiek bunt został stłumiony, to jednak nie znaczy to, ażeby za jakiś czas nie przyszedł znowu do głosu inny ośrodek oporu. Front będzie jednak decydował. Jeżeli na froncie poczną poddawać się pewni generałowie, to stanowi to niezbity dowód, że armia, a raczej jej szczyty, nie wierzą już w wygraną i uważają, że najlepiej się poddać.

Po upadku Mussoliniego stwierdziliśmy na tych łamach, że wzór włoski może być bardzo dla "Reichswehry" wymowny i że może się ona pokusić o dokonanie jakiegoś zamachu stanu. Zaznaczyliśmy jednak, że jeżeli "Wehrmacht" nie wykorzysta chwili zamętu, jaki powstał po upadku jednego dyktatora, to wówczas partia hitlerowska ochłonie i opanuje położenie. Doniesienia neutralne, które nadchodziły później z Rzeszy mówiły, że szczyty partyjne obawiały się bardzo jakiegoś zamachu, że społeczeństwo niemieckie było wybitnie przygnębione i że oczekiwano jakichś ech "włoskich".

Po Röhmie niemieckie rządy umocniły się. Trudno powiedzieć, ażeby wyszły one wzmocnione po obecnej próbie. Oczywiście, zaostrzy się terror. Rzesza jęknie pod uciskiem Himmlera, który jest najpotężniejszą osobistością w Niemczech obecnych. Jest to specjalista od terroru na największą skalę, jest to człowiek, który nie zawaha się przed niczym. Terror w Rzeszy nasili się, społeczeństwo zagnane zostanie do taczek wojny jeszcze bardziej brutalnie.

Nie jest rzeczą wykluczoną, że Rzesza pójdzie na politykę rozmaitych gróźb, a więc będzie grała na atucie jeńców wojennych, będzie groziła wielu rzeczami. Żaden szantaż, żadna groźba, żaden krwiożerczy czyn na pewno nie zostanie pominięty. Hitler i Himmler idą po drodze obrony, całopalenia, "bitwy Nibelungów". Głosy "Wehrmachtu", to były głosy, że trzeba się zachować i uchować. W poprzedniej wojnie wygrał w Rzeszy instynkt samozachowawczy, w tej może wygrać instynkt samozniszczenia.

LWÓW, LUBLIN, CHEŁM

Zajęcie Lwowa przez wojska sowieckie może być sprawą godzin. Podsuwają się te wojska daleko pod Przemyśl, zajęły już bodaj Lublin. Odległość szpicy sowieckiej od Warszawy wynosi 100 km. Zajęcie Warszawy do dnia 1-go sierpnia nie jest wykluczone. Do 1-go września los stolicy Polski wydaje się być przesądzony.

Postępy sowieckie są stałe. Na różnych frontach przychodzą ataki, dywersje, dowodzące, że Rosjanie mają wszędzie wielkie pogotowie, że ich przewaga ludzka i sprzętowa jest olbrzymia i że mogą sobie oni pozwolić na uderzenia gdzie chcą.

Nie widać powodu zatrzymania się pochodu sowieckiego, nie widać wyjścia jakiegoś niemieckiego przeciwuderzenia. Wydaje się raczej, że front niemiecki pruje się coraz bardziej, że puszczają coraz to nowe szwy i że tego rodzaju tempo może sprawić, iż Rosjanie istotnie mogą w tym roku skończyć wojnę z Rzeszą. Nie widać, bezstronnie rzecz biorąc, żadnego powodu, dlaczego nie miało by się to stać. Kontrast między wielkim rozmachem sowieckim a tempem sojuszniczym w Normandii staje się czymś tak oczywistym dla ogółu brytyjskiego, że prasa angielska zaczyna głośno wyrażać niezadowolenie.

Z chwilą zajęcia Chełmu Rosjanie oznajmili powołanie do życia "Komitetu Wyzwolenia Narodowego", który przejął niejako agendy Związku Patriotów w Moskwie. Ogłoszono listę "gabinetu", który składa się z nazwisk raczej niewiele mówiących poza Jędrychowskim, Berlingiem, Wasilewską, Drobnerem. Przeważa element komunistyczny /Drobner, Jędrychowski, Wasilewska/. Niektóre nazwiska wyglądają na pseudonimy. "Premier", który jest również "ministrem spraw zagr." jest nieznaną wielkością: jest to niejaki Morawski, podobnie jak "wódz naczelny" Rola Żymierski.

Dekret o powstaniu owego Komitetu datowany był "Warszawa dnia 21-go lipca". Komitet wydał już kilka dekretów, m.in. jeden z nich wyrzekający się rządu polskiego. Sprawa granic z Rosją i Litwą będzie niebawem ustalona. "Armia ludowa w Kraju" łączy się z "armią Berlinga".

Wydaje się, że Moskwa zastosowała w Polsce "wzór Tity". Podobnie jak z Titą — "Komitet Wyzwolenia Narodowego". Możliwość furtki dla rządu londyńskiego, gdyby chciał się "pogodzić" istnieje, tak jak istniała dla rządu Subasicza. Tak się to przynajmniej dzisiaj wydaje. Możliwe jest jednak, że Moskwa zastosuje "wzór de Gaulle'a": oskarży rząd polski w Londynie o rzekome "sprzyjanie Niemcom", powie światu, że to "Vichy i koniec"; faktem jest, że tak jak de Gaulle atakuje uchwały w Bordeaux, tak panowie z Chełmu atakują konstytucję r. 1935. De Gaulle miał pewne podstawy do zaczepienia uchwał w Bordeaux, Komitet z Chełmu żadnych — ale to nic nie szkodzi . . .

Niedawno na łamach *"News Chronicle"* p. Stefan Litauer zapowiedział możliwość stworzenia rządu czy komitetu pod opieką Rosji w Lublinie. Pomylił się co do miejscowości. To nie Lublin, lecz Chełm. Lublin pachnie zanadto rządem socjalistycznym /jednym z członków tego rządu był zresztą Rydz-Śmigły/, Chełm jest lepszy. Chełm to symbol oporu polskiego przeciwko "carskiej reakcji". Lublin byłby może zanadto wielkim miastem, Chełm wystarczy dla celów komitetu. Z chwilą wejścia do Warszawy "Komitet Wyzwolenia Narodowego" zapewne się rozbuduje.

Wszystkie te posunięcia tworzą splot niezmiernie tragiczny. Niepewność jest naszym udziałem, będzie naszym udziałem długo. Fala rewolt, niepokojów, wojen domowych będzie chyba nieunikniona w Europie. Losy nasze nie zadecydują się ani dzisiaj ani jutro. Wszystko to każe wytężyć wolę i słuch ludziom odpowiedzialnym, Polakom świadomym obowiązków naszych wobec Europy, wobec europejskiej Polski. Musimy pracować dla tego celu, który może w tej chwili wydawać się odległy. Ale ten tylko cel: powiązanie się Europy, znalezienie dla Polski miejsca w tym zespole, tylko powołanie do życia mocnego systemu bezpieczeństwa — wróży pokój. Wszystko inne, to tylko wstęp do nowego zamętu, do bezładu i anarchii, fal terroru, przewrotów społecznych, do państw i rządów lennych.

Dlatego nie możemy poprzestać na chwili obecnej. Ta chwila jest czarna i niewiele wskazuje na to, by ten rok miał przynieść jakąś odmianę. Ale nie może to wywołać całkowitego opuszczenia się w sobie, gestów niewiary. Kryzys, jaki Europę ogarnął, to kryzys największej miary. Trzeszczą w nim państwa, porządki społeczne, wiary ludzkie. Tylko to co świadome, silne — przetrwa i zwycięży.

Młoda Polska, ta Polska, która jest dzisiaj w szeregach, ta, co kształci się rozsiana po świecie — ta musi już dzisiaj organizować się, zdobywać dorobek myśli, rozszerzać swój widnokrąg. Walka o Europę, o Polskę, nie zakończy się prędko. Będzie ona trwała długo, może jeszcze pochłonąć wiele ofiar, złamać wiele istnień, wiele nadziei. Ale od tego, jak ta stawka młodych Polaków odpowie na pytania zadawane przez nieubłagany czas — zależy los Polski.

Londyn, dnia 24-go lipca 1944 r.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

17 *lipca: Wojska sowieckie zajęły Białowieżę, Szereszów, Świsłocz, Prużanę i Drohiczyn. Niemcy podali, że walki toczą się na ulicach Bełza.*

—Oddziały II. Korpusu Polskiego rozpoczęły bitwę o Ankonę.

—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały wymiatanie i osłonę wypraw bombowych. Wszyscy piloci polscy powrócili.

18 *lipca: II. Korpus Polski zdobył Ankonę. O godz. 16.00 na cytadeli w Ankonie zawisła flaga polska.*

—Wojska amerykańskie zajęły po ośmiu dniach walki St. Lô w Normandii. Wojska brytyjskie i kanadyjskie przedarły się na wschód od rzeki Orne i płd.-wsch. od Caen.

—Wojska sowieckie zajęły Złoczów, Kamionkę, Busk, Brody i Chodorów.

—Ogłoszono szczegóły o wybitnym udziale Armii Krajowej w walkach o Wilno.

—W nocy z 17/18 polski nocny dywizjon myśliwski przeprowadzał zadania intruderskie nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela oraz dalekie patrole zaczepne. Polski dywizjon bombowy ciężki atakował cele wojskowe w rejonie Caen, a polski dywizjon bombowy lekki drogi komunikacyjne. Polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował tej samej nocy morza. Za dnia polskie dywizjony myśliwskie zwalczały latające bomby i przeprowadzały osłonę wypraw bombowych. Wszystkie samoloty powróciły z tych zadań.

19 *lipca: Wojska amerykańskie zajęły Livorno. Czołgi polskie ścigają Niemców nad Adriatykiem.*

—Wojska sowieckie zajęły Sokal nad Bugiem oraz przekroczyły rzekę Świsłocz.

—W nocy z 18/19 lotnictwo sowieckie bombardowało Lwów, Siedlce i Dźwińsk.

—W nocy z 18/19 polski dywizjon bombowy ciężki bombardował obiekty wojskowe w rej. Ruhry, a dywizjon bombowy lekki drogi komunikacyjne. Dywizjon myśliwski nocny przeprowadzał zadania intruderskie. Za dnia dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe i zwalczały bomby latające. Z zadań tych nie powróciła jedna załoga dywizjonu bombowego ciężkiego.

20 *lipca: Ujawniono, że dokonany został zamach na Hitlera.*

—Wojska II. Korpusu Polskiego przekroczyły rzekę Esino, na płd. od Chiaravalle, 10 mil na zach. od Ankony.

—Wojska sowieckie zajęły Kobryń, Luboml, Włodzimierz Wołyński, Rawę Ruską i Tomaszów Lubelski.

—W nocy z 19/20 polski dywizjon bombowy lekki bombardował drogi komunikacyjne, a dywizjon obrony wybrzeża patrolował morza. Za dnia dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe i zwalczały bomby latające. Dotąd piloci polscy zestrzelili 59½ bomb latających. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

—Ogłoszono, że O.R.P. "Błyskawica" wraz z dwoma kontrtorpedowcami brytyjskimi zatopiły w dniu 15 bm. w Zatoce Biskajskiej dwa statki nieprzyjacielskie i jeden trawler.

21 *lipca: W nocy z 20/21 polski dywizjon bombowy ciężki bombardował cele wojskowe w Courtrai, a dywizjon myśliwski nocny przeprowadzał zadania intruderskie nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela i dalekie patrole zaczepne. Wszystkie załogi polskie powróciły.*

—Prasa podała, że wojska polskie w pościgu za Niemcami dotarły do Monte Marciano, Monte San Vito i Morro Dalba.

—Wojska sowieckie zajęły Buczacz i Kozowę oraz Ostrów na płd. od Pskowa.

22 *lipca: Wojska polskie posunęły się naprzód od 2-3 mil w kierunku na port rybacki Senigallia.*

—Wojska sowieckie zajęły Chełm.

23 *lipca: Wojska sowieckie zajęły Psków. Walki na ulicach Lublina.*

—Naczelny Wódz udekorował orderem "Virtuti Militari" gen. Alexandra i d-cę 8-ej Armii gen. Leese.

Święto "Poznańskiego" Dywizjonu Myśliwskiego przypadające w dniu 28 lipca odbędzie się w związku z obecną sytuacją — w ramach ściśle wewnętrznych.

Nowości lotnicze

Przewidywania nasze, że niebawem dojdzie do wielkiej bitwy powietrznej nad terenem Francji nie spełniły się dotychczas. Lotnictwo niemieckie, jak dotąd, nie wystąpiło masowo do walki. Zadawala się małymi eskapadami najwyżej 40 do 50 samolotów, próbuje atakować pojedynczymi samolotami konwoje lub okręty przy zatokach.

W takich warunkach piechur niemiecki jest zdany na łaskę i niełaskę samolotów sojuszniczych. Mimo niepogody, lotnictwo alianckie działa mocno na korzyść własnych wojsk lądowych, otwierając mu gigantycznymi bombardowaniami drogę w głąb pozycji niemieckich. "Typhoony" i "Hurricany" uzbrojone we wspaniałą nową broń: pociski rakietowe, stały się zmorą żołnierza niemieckiego. To co opowiadają niemieccy jeńcy o tym, jak smakują te ataki, przechodzi czasem pojęcie. Daje nam to jasny obraz tego, co lotnictwo może zdziałać nie napotykając w powietrzu równie silnego przeciwnika.

Współczesne lotnictwo myśliwskie, działając nisko przy ziemi, nie jest łatwo uchwytne dla obrony ziemnej dzięki swej szybkości. W dodatku, dzięki swemu uzbrojeniu stało się groźne także dla broni pancernej.

Dwa lata temu, na tym samym miejscu, rozważaliśmy sprawę uzbrojenia lotnictwa myśliwskiego. Ubolewaliśmy w roku 1942, że broń nie przebijająca pancerzy ciężkich czołgów, nie pozwala użyć lotnictwa w takiej skali i w ten sposób, w jaki użyte być powinno.

Pomału jednak i to się spełniło. W czasie walk pustynnych z czołgami Rommla, "Hurricany" dostały działka 40 m/m. Nie przyszły bynajmniej z takim uzbrojeniem z fabryki. Lotnictwo zaimprowizowało takie uzbrojenie na własną rękę, nie wiele pytając inżynierów. Pierwsze próby nie były szczęśliwe. Odrzut działek osłabiał skrzydła, wykręcał kadłuby, lub powodował inne nieprzyjemności. Lecz w końcu trudy opłaciły się sowicie. Powstał dywizjon t.zw. "otwieraczy puszek konserwowych", zaczął walczyć z bronią pancerną i co ważniejsze — zaczął ją zwalczać.

Czasy mozolnych prób przeszły szczęśliwie i "Hurricany" naprawdę dostały działka ppanc., za nimi inne samoloty, nie tylko w ramach *Desert Air Force*, lecz i na innych frontach.

Niestety niewielu z pierwszego dywizjonu, który montował działka w skrzydła pierwszych "Hurricanów" dożyło czasów tryumfu. "Otwieracze puszek" mieli swą Samosierrę na Sycylii. Jeszcze dzisiaj ani czas, ani miejsce opisywać te dziwne sprawy, jedno tylko rzec można: dywizjon poświęcił się za wielu. Gdyby nie on, Bóg jeden wie, jakby to wyglądało z lądowaniem na Sycylii i ile by ta Sycylia krwi kosztowała . . .

Pozostały po "otwieraczach puszek" wielka sława i owe działka w skrzydłach samolotów myśliwskich. Niebawem jednak zamiast działek, zaczęto w skrzydłach, a raczej pod nimi, montować inne przedmioty: jakieś szyny żelazne i puszki. Był to wstęp do montowania na samolotach pocisków rakietowych, jeszcze bardziej wydajnych w walce z ziemią, niż owe pamiętne działka. "Typhoony" bliscy kuzyni "Hurricanów" były pierwsze.

Początkowo pociski rakietowe były niewielkie. Z biegiem jednak czasu rosły i dziś dorosły już do wagi 1000 lb. każdy. "Typhoon" dźwiga pod skrzydłami dwa takie pociski. Postęp w używaniu tych nowych pocisków szedł naprzód bardzo szybko, szczególnie w kierunku uzyskania dużej dokładności strzału i szybkości pocisku. W każdym razie dziś nie tylko pancerz czołga, lecz i grube mury betonowe nie są już pewne wobec pocisku rakietowego . . .

Samoloty z pociskami rakietowymi mają specjalną taktykę walki. Taktyka ta, wypracowana i wypróbowana w wielu bitwach, daje coraz lepsze wyniki. Przypuszczać należy, że pocisk rakietowy będzie w przyszłości główną bronią pewnych rodzajów lotnictwa. Czy jednak wyprze broń maszynową? Nie można w tej chwili odpowiedzieć ani tak, ani na pewno: nie. W każdym razie broń maszynowa, k.m. czy działko, to potężna broń zaczepna w powietrzu, uwielokrotniona, bowiem każdy samolot myśliwski posiada działek i karabinów maszynowych od dwóch do dwunastu.

Przypuszczać tedy należy, że o ile pocisk rakietowy nie przybierze całkiem nowych form, to broń maszynowa obok rakietowej w dalszym ciągu pozostanie na samolocie. Pocisk rakietowy ma jednak wielką w stosunku do broni maszynowej przewagę: przede wszystkim wystrzeliwanie go spod skrzydła nie jest połączone z żadnym prawie odrzutem, czego nie można powiedzieć ani o działku, ani o k.m. Urządzenie do wystrzeliwania jest lekkie i składa się z szyn i odpalacza elektrycznego. Nie potrzeba żadnych ciężkich a skomplikowanych urządzeń wewnątrz skrzydeł, ani specjalnych wzmocnień kadłuba, waży tylko pocisk, reszta stanowi nikły procent wagi pocisku.

Zapytano nas, jaka jest różnica między samolotem odrzutowym a rakietowym. Spróbujemy to wyjaśnić na przykładzie przyrodniczym: ośmiornica jest jednym z najstraszniej uzbrojonych stworzeń na ziemi. Poza swymi ośmioma łapami o tysiącach ssawek, poza dziobem, podobnym do papuziego o straszliwej sile chwytnej i kruszącej, poza możliwością wytwarzania obłoku atramentowego dla oślepienia ofiary, posiada jeszcze t.zw. "syfon". Strumień wody, wyrzucony pod ciśnieniem z "syfonu" /zbiornika przy odwłoku/, uderzając o wodę nieruchomą w otoczeniu, wyrzuca ośmiornicę daleko z szybkością pocisku.

Jest to urządzenie działające na tej samej zasadzie, co silnik odrzutowca. Trąba blaszana nad ogonem latającej bomby jest jej syfonem. Syfon składa się z dwóch części: z komory, do której wpływa powietrze, miesza się z materiałem pędnym, i tworzy mieszankę, oraz z rury wydmuchowej. Mieszanka zostaje zapalona. Gorący strumień przez specjalnie zwężoną rurę wypływa na zewnątrz z olbrzymią szybkością i powoduje ruch samolotu do przodu. Gdyby jednakże można to powietrze poddać większemu ciśnieniu — nie byłoby potrzeby całego zabiegu zapalania, tak jak go nie potrzebuje ośmiornica, wyrzucając wodę pod ciśnieniem.

Inaczej rzecz się ma z samolotem o napędzie rakietowym. W takim samolocie ruch do przodu jest wywołany przez o d r z u t. Polega na odwróconej zasadzie działa; działo strzela, pocisk wylatuje, działo wykazuje dążność do cofania się. Usuwamy cofanie działa przez takie urządzenie, że tylko lufa się cofa, natrafia na płyn, gaz, czy wreszcie sprężynę, która to cofanie amortyzuje. Lufa wraca do normalnego położenia, a pocisk leci do przodu.

Teraz pomyślmy, że zbudujemy działo, które ma lufę zamocowaną na stałe, bez żadnego urządzenia amortyzującego odrzut. Co się stanie, gdy strzelimy z tego działa? O ile będzie dostatecznie mocne i nie pęknie — po strzale uskoczy w tył. Gdyby wewnątrz takiej lufy było więcej pocisków i wybuchały co pewien czas, działo zaczęłoby się toczyć coraz szybciej do tyłu ruchem jednostajnym, lub przyspieszonym, zależnie od tego, jak byśmy uregulowali czasy wybuchów. I toczyłoby się tak długo, jak długo trwałyby wybuchy. Co więcej, gdybyśmy takie działo umieścili w próżni — sprawa przedstawiała by się jeszcze prościej.

Krótko mówiąc różnica między samolotem o napędzie odrzutowym */jet propelled plane/*, a samolotem rakietowym */rocket plane/* jest taka sama, jak między ośmiornicą a działem. Jak widzimy jest to różnica znaczna.

Nie podano jeszcze do wiadomości żadnych bliższych szczegółów o najnowszym superbombowcu amerykańskim, który już wszedł w akcję na froncie japońskim, mianowicie Boeing B 29, będący następcą "Latającej Fortecy", czyli Boeing B 17-G, znanej z wypraw na Berlin. Podobno ma zabierać do swych komór bombowych więcej niż 8 ton bomb, na bardzo dalekie przestrzenie, poza tym posiada wielką szybkość i bardzo wysoki pułap, co jest cenną właściwością bombowca. Posiada też podobno aż 15 działek i ciężkich karabinów maszynowych, z czego część wmontowana jest w wieżyczkach, a reszta poruszana motorycznie. W przyszłości, zapewne już niedalekiej, podobne bombowce będą miały już celowanie i odpalanie automatycznie uzgadniane, tak samo, jak na jakimś pancerniku, gdzie ogniem artylerii okrętowej kieruje się centralnie, a poprawki każde działo wprowadza automatycznie. Oszczędziłoby to conajmniej pięciu członków załogi.

Z chwilą gdy takie rzeczy pojawią się na świecie, niedaleka będzie droga do jednoosobowych, lub najwyżej dwuosobowych ciężkich bombowców.

M. J. GORDON

Z dywizjonem amerykańskim



38 "asów" na "Thunderbolcie", mają oni w sumie 540 niemieckich samolotów strąconych; wśród nich rekordzistą /ogólno-amerykańskim/ jest Amerykanin polskiego pochodzenia płk. Gabreski z 30 samolotami

Wyruszamy na *"mission"* /wyprawę/ wczesnym rankiem. Ziemia jeszcze śpi, przeciągają się mgły. Powietrze jest chłonne i chłodne. Jest jak nurt zimnej, krynicznej wody puszczanej przygarściami na kark. Orzeźwia. Jeszcze godzinę temu, gdy budzik rozdzierał uszy i grzmocił w ospałość jak bokser trenujący w wór z piaskiem, uważało się, że wszystko jest *"rotten"*. Tłumacząc to słowo na polski ze słownikiem w ręku, otrzymuje się pojęcia: zgniły, zepsuty, spróchniały, robaczywy, paskudny. Ja byłem *"rotten"* także. *"Rotten"* był *"jeep"*, którym jechaliśmy na *"briefing"*.

Teraz już jest inaczej. Dwie trzecie Anglii jeszcze śpi i dwie trzecie Anglii traci przepych słońca płynącego po obnażającej się z nocy i mgieł ziemi. *"Mission"* jest pod Chartres. Będzie rąbane ostro lotnisko z "Messerschmidtami 110": dwa *"boxy"* "Marauderów" mają się nim starannie zaopiekować. My pójdziemy jako osłona tych bombowców. Pójdziemy całą grupą, a więc w trzy dywizjony po 16 maszyn.

Samolot, na którym latam to słynny "Thunderbolt" czyli Piorun z silnikiem Pratt and Whitney 2200 H.P. Słynny przez swój ciężar, mocną budowę i piekielną siłę ognia. Były już pisane poezje i dytyramby o "Spitfire", "Mosquito", a nawet o słynnym z "Bitwy o Wielką Brytanię" "Hurricanie", o "Thunderbolcie" nie pisał nikt. Rzecz jasna: samolot nadaje się do poezji, jak wół do karety. Krótki, tępy nos nie mówi wcale o szybkości, którą rozwija. Szeroko rozstawione podwozie przypomina zmęczonego niezdarę, który usiadł na zydlu i pozostawił nogi nogom. Najgorszy jednak jest kadłub — jak bania i cysterna równocześnie. Człowiek w kabinie "Thunderbolta" wygląda jak mucha, która usiadła na szyi buldoga. Porównanie obrazowo gra, ale żeby jakiś pedant nie przyczepił się do wymiarów, trzeba muchę przerobić na dużego żuka, a buldoga na pekińczyka.

"Thunderbolt" jest bezsprzecznie najcięższym jednosilnikowym samolotem myśliwskim na świecie, waga jego bowiem wynosi ponad 13.000 funtów t.j. 6 ton kontynentalnych. Gdy idzie na bombardowanie nurkowe, wówczas zabiera pod skrzydła dwie bomby po 1000 funtów i jeden zapasowy zbiornik benzyny pod kadłubem. Waga wtedy wzrasta do przeszło 7 ton. Uzbrojenie składa się z ośmiu 15-to milimetrowych karabinów maszynowych, a właściwie małych działek, gdyż pociski są wybuchowe. Ilość zabieranej amunicji wynosi 2000 sztuk. Wszystkie karabiny są wycelowane zbieżnie na 300 yardów. Efekt tego jest taki, że kilkusekundowa seria z "Thunderbolta" przy ogólnej ilości 80 pocisków na sekundę roznosi nieprzyjacielski samolot w powietrzu na drobne części.

Samolot ten został specjalnie zbudowany do pracy na dużych wysokościach, gdzie prześciga każdy samolot niemiecki. W nurkowaniu nie ma sobie równego, tak więc na nim to właśnie osiągnięto szybkość nurkowania ponad 700 mil na godzinę, co przedstawia szybkość większą od szybkości głosu. Samolot jest zbudowany niezwykle mocno i wytrzymuje największe obciążenia przy wyprowadzaniu go z nurkowania. Nie ma więc dziś w świecie samolotu, którybу mógł uciec przez nurkowanie przed "Thunderboltem".

Żuk dojechał do pekińczyka /ja — do mego "Thunderbolta"/. Wyrzucają mnie z *"jeepu"* razem z klamotami, do których się zalicza: spadochron z *dinghy* /gumowa łódź/, *May West* /specjalna kurtka/, maska tlenowa, hauba obwieszona drutami od radia, jak święty wotami w Ławrze Poczajowskiej. Bomb wiadomo, dziś nie ma; ich miejsce zajmują dwa zbiorniki po 100 galonów benzyny każdy.

Wchodzenie do kabiny "Thunderbolta" przypomina wchodzenie na pierwsze piętro. Gdyby to jeszcze człowiek nie miał na sobie tych wszystkich rekwizytów latania, byłoby jeszcze pół biedy. Spadochron obciążający pewną część ciała absolutnie nie zgadza się na szybkie wywindowanie.

Kabina jest widna, obszerna i wygodna. Dostęp do wszystkich niezbędnych przyrządów łatwy; nic nie stoi na przeszkodzie. Mechanik już wlazł na skrzydło do pomocy przy zapinaniu. Niezbędne i nieodłączne przed każdym lotem misteria można zacząć.

Najpierw historia z pasami. Spadochronowe i siedzeniowe. Trzymają. To dobrze. Teraz taśmę od *dinghy* spiąć z klamrą pasów. Teraz wąż gumowy od tlenu przepuścić pod prawą nogą i przyczepić sobie pod brodę. Teraz przewód maski złączyć z wężem. Teraz kabel idący od słuchawek na uszach spiąć z gruszkowatym zakończeniem innego kabla. Pierwsza część misteriów dotycząca własnej osoby ukończona.

Część druga to już samolot. Otwieram przewody benzynowe. Sprawdzam, czy samolot jest na hamulcach. Skok śmigła cały do przodu. Rączka benzyny do przodu. Rączka gazu do tyłu. Zastrzyk. Noc była zimna, więc daję mu pełne pięć. Włączam ogólny generator. Rzut oka na licznik benzyny; wszystkie zbiorniki pełne. Włączam kontakt. Włączam rozrusznik. Liczę do dwudziestu — *Clear off?* — mówię do mechanika pytająco. — *Clear off* — odpowiada. Włączam starter. Ogromne łopaty czteroramiennego śmigła przeszły w wolny ruch obrotowy i podtrzymane wybuchami w cylindrach dmuchnęły wirem powietrza, ginąc z dostrzeżenia. Przerzucam szybko rączkę benzyny na bogatą mieszankę. Misteria skończone całkowicie. Teraz już tylko siedzieć i czekać aż się temperatura oliwy wystarczająco podniesie.

Maszyny, jak ciężkie gady toczą się po asfalcie na start. Ustawiam się po prawej stronie dowódcy klucza. Kiwa do mnie głową pytająco. Odpowiadam mu kiwnięciem. Odbezpieczam rygiel podwozia. Blokuję kółko ogonowe. Teraz rączka od gazu do przodu. Samolot drga, pełznie, toczy się, pędzi. Pędzi długo, bo potrzebuje przestrzeni. Jego sześć ton, zanim pokonają siłę przyciągania, będą się mocowały z nią długo wzdłuż jasnego pasa wybieżni. Zieloność trawy przemyka po bokach.

Samolot prowadzącego nazbyt się zbliżył. Odjąć gazu. Szybkość już 100, już 110 mil na godzinę. Domy na końcu lotniska pędzą naprzeciwko. Ostatnie, miękkie uderzenia kół o beton. Ostatnie muśnięcia. Powietrze jest już dość twarde, by się nie ugiąć pod ciężarem i sześć ton kładzie się na jego barkach jak czółno na wodzie.

Przestawiam rygiel podwozia na położenie *"up"* /do góry/. Zapala się czerwone, ostrzegawcze światełko. Dachy domów migają pod płatami. Drzewa otaczają domy, jak zielona, stojąca woda. Zwiększam skok śmigła. Zamykam kabinę. Dochodzę do prowadzącego. Zmniejszam gaz. Przestawiam kran benzyny ze zbiornika głównego na zbiornik pod prawym skrzydłem. Notuję w pamięci czas przestawienia.

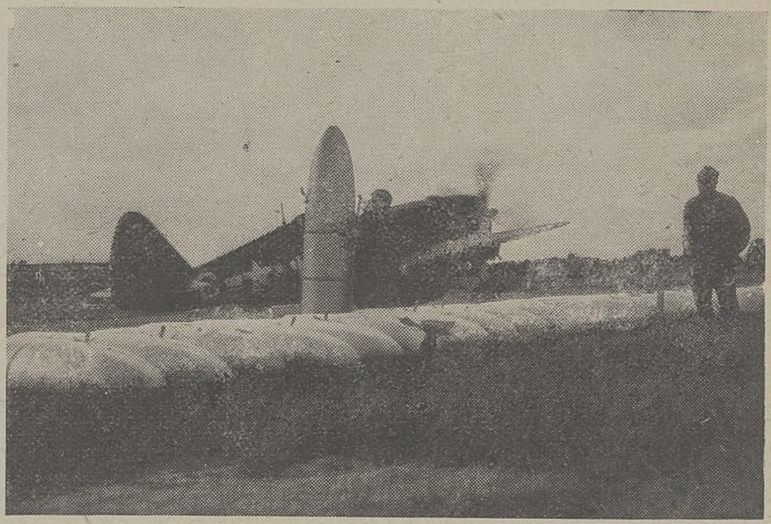
Powietrze jest tak spokojne, że po zgraniu fletnerów można stery zupełnie wypuścić z ręki i pozostawić samolot samemu sobie. Nabierając wysokości formujemy się w szyki i czekamy na tych, co jeszcze są na ziemi. Ostatnie maszyny dochodzą wreszcie i zajmują swoje miejsca. Zgrupowanie przyjmuje kierunek w prawo od słońca. Przejrzystość jak z bajki; w dole tylko tu i ówdzie czołgają się smugami mgły i dymy.

Lot nad lądem się dłuży jak zwykle na początku wyprawy. Cel ciągle daleko jeszcze w przodzie. Później już, po wykonaniu zadania, czas ulegnie przyśpieszeniu i poleci szybciej.

Nad kanałem 5/10 pokrycia płytkimi chmurami. Morze wygląda jak duże kałuże wody z wysepkami lądu. Dzięki ostrej jasności chmur i mrocznemu kolorytowi wody w dole, otrzymuje się z tego obrazu krańcowo przeciwne wrażenia. To właśnie białe chmury wyglądają jak rozlana woda, a tło wody pod nimi wygląda jak plamy brudnego lądu. Szybkość na liczniku wykazuje 200 mil na godzinę. Ponieważ jesteśmy już na znacznej wysokości, przeto szybkość właściwa jest większa, gdzieś w granicach 250 mil.

Brzeg francuski zarysowuje się w głębokiej odległości — w odległej głębokości żółtą i siwą linią. Linia grubieje, zbliża się, podchodzi pod samolot. Tu właśnie mamy spotkanie z bombowcami. Robimy jedno szerokie okrążenie i oto bombowce już nadciągają. Ogromny, czarny rój sunie nad chmurami z północnego zachodu. Gdzieś za nim, daleko w tyle, wychodząc dopiero z horyzontu w pole dostrzeżeń, suną inne roje. Zajmujemy swoje miejsca naokoło bombowców, przecinamy linię brzegu w dole i zdecydowanie idziemy w głąb lądu. Szyk nieco się rozluźnia, by każdy miał więcej swobody w obserwacji. Zaczynam odczuwać brak tlenu, więc przypinam maskę wiszącą mi dotychczas luźnie pod szyją. Ziemia pamiętająca o nas wysyła sygnały.

—*Hallo, Wolf leader . . . Warrior calling* . . . Nierozpoznane samoloty w górze po lewej.



Dodatkowe tanki z benzyną wyrównane w szereg na lotnisku i gotowe do podczepienia; to one wraz z innymi właściwościami "Thunderbolta" czynią z niego maszynę o wielkiej wartości bojowej

W górze po lewej jest słońce, a pod słońcem barankowate stada *cirrusów*. "Focke Wulfy" mogą siedzieć za tymi stadami, jak za parawanem, ale nie chce mi się wierzyć, by siedziały. Musiałyby mieć swoje lotniska na *cirrusach*. Z ich lotnisk odsuniętych za Paryż i pod Belgię żadna siła nie przeniesie ich wyżej od nas, przyjmując, że wystartowali na alarm po nas. Może być coprawda zbieg okoliczności, że siedzieli na patrolu jeszcze przed naszym lotem, ale na taki patrol więcej, niż kilka maszyn nie idzie. A lotnisk bliższych brzegu Atlantyku w północno-zachodniej Francji przecież nie widziałem. Przedstawia ona obraz nędzy i wojny. Hangary, składy popalone, wybieżnie posiekane od wybuchów, całe pola wzlotów podobne krajobrazowi księżycowemu. Czasem tu i ówdzie widzi się czarny, zżarty ogniem rupieć tego, co było "Ju. 88", lub "Me. 110".

Nic więc nie mąci naszego lotu. Płyniemy równo, sennie nad Francją skąpaną w blaskach porannego słońca. Widoczność taka, że trudno o lepszą. Przelatujemy nad osiedlami, mijamy miasta, jak się mija przy jeździe słupy na rozstajach. Wgłębiamy się coraz bardziej we wnętrze terenu okupowanego przez nieprzyjaciela z niezachwianą zaciętością — niewzruszeni, niesprowadzeni ani na pół stopnia z naszego docelowego kursu.

Daleko po lewej wyłania się Paryż. Czas od przekroczenia brzegów Francji poszedł szybciej i już będzie nadal zachowywać przyśpieszenie. Paryż ma więcej barwy i słoneczności w sobie, więcej rumieńca, niż Londyn. Sekwana jak warkocz kobiecy. Szukam wieży Eiffla, ale nie mogę znaleźć, bo właśnie moje lewe skrzydło weszło na tę część, gdzie powinna być.

Paryż przesunął się ruchem pełznącym do tyłu i zapadł w niewidoczność. Cel-lotnisko dotychczas jeszcze nie bombardowane, właśnie się zbliża. Bombowce strzelają jakieś sygnały świetlne, których znaczenia nie znam. Wyprawa leci teraz prosto jak po nitce. I teraz właśnie zaczyna się opiekować nami ciężka artyleria przeciwlotnicza. Duże, czarne kłęby dymu rwą się w gęstych, skupionych seriach. Seria nadbiega za serią tak, że dymy wybuchów łącząc się ze sobą w powietrzu tworzą gęstą, czarną drogę, która nam towarzyszy.

Na szczęście wszystkie wybuchy są niecelne. Lecz nawet gdyby były, teraz, w tej chwili, żaden bombowiec nie zmieni swego kursu. Lecą tę minutę jak w natchnieniu. Bombardierzy przywarci teraz do celowników całą swoją uwagą, skupieni i zacięci nie widzą i nie dostrzegają nic, co nie jest celem. Gdyby ktoś został wytrącony pociskiem z szyku, szyk ani drgnie. Taktyka wróciła w tym do czasów napoleońskich, gdy jedyną reakcją zwartego oddziału piechoty na wyłom, jaki robił w jej szeregach granat, była komenda: "szlusuj".

Cel podchodzi pod skrzydło samolotu i ginie z oczu. W tej samej chwili z kadłubów bombowców zaczynają się sypać ciemne, podłużne kształty bomb. Ciekną w dół jak paciorki po niewidocznym sznurku. Zawracamy szerokim, łagodnym półkolem z powrotem na północ. Artyleria grzmoci w nas bez przerwy. Czarne, brudne rozpryski rozrywają błękit nieba. Lecz poza tym nikt nas nie niepokoi. Aż nie chce się wierzyć, że to jest teren nieprzyjacielski. Gdzie się podziała "Luftwaffe"? Została wyparta z lotnisk zachodniej Francji. Nie może się przeciwstawić skutecznie połączonemu lotnictwu Sprzymierzonych. Bombardowana bez ustanku, ostrzeliwana z lotów koszących na ziemi, niszczona w porażającym tempie w walkach powietrznych wycofała się z nieba zachodniej Francji i oszczędza się jak może.

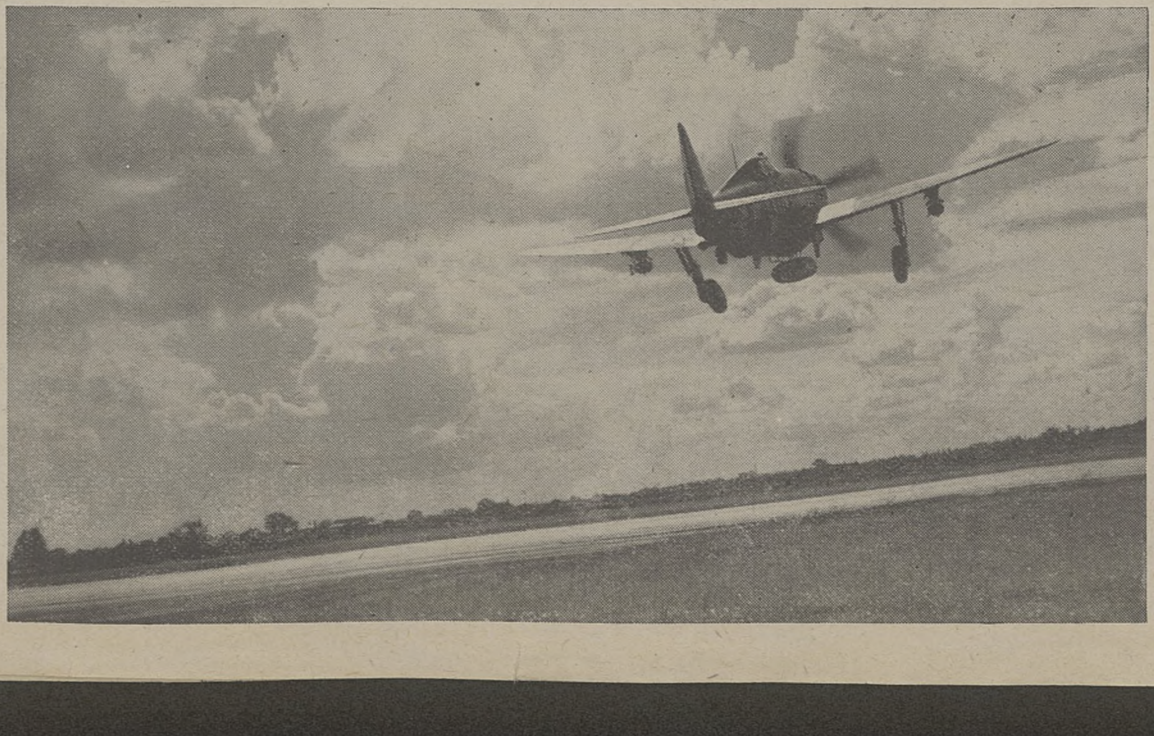
Gdy dolatujemy z powrotem do brzegów francuskich, niewidoczne samoloty na wysokości 30.000 — 35.000 stóp orzą niebo w białe skiby wzdłuż i w poprzek. Jest to wysoka osłona, *"top cover"*, robiona przez "Spitfire'y". Kto wie, może to właśnie są dywizjony polskie.

A oto z północy nadciągają nowe masy samolotów. Spotykamy się z nimi twarzą w twarz, tylko, że one lecą nieco niżej od nas. Na prawo i na lewo, gdzie spojrzeć, ogromne zgrupowania bombowców. Idą na Francję, tam skąd my wracamy. Wysoko i po bokach suną, jak psy myszkujące, dywizjony myśliwskie. Widok ten przypomina mi prawem kontrastu rok 1940 we Francji.

Gdy się leciało wtedy w małym zgrupowaniu samolotów francuskich, spotykało się na każdym kroku druzgocącą przewagę. W powietrzu roiło się wszędzie od Niemców. Czasem musieliśmy uciekać niesławnie przed dziesięciokrotną przewagą, a czasem w ogóle nas nie zaczepiano, bo brano widocznie za samoloty niemieckie, przypuszczając i zresztą słusznie, że lotnictwo francuskie już prawie nie istnieje.

Teraz role się odmieniły. Zmieniłem "Morana 406", który nie mógł dogonić żadnego samolotu niemieckiego, ani przed żadnym uciec — na "Thunderbolta", przed którym żaden samolot nie ucieknie. Zamiast jednego działka mam osiem, szybkość o 1/3 większą, pułap wyższy, zasięg trzykrotnie większy. A przede wszystkim nie latam już więcej w grupkach po 7 — 9 samolotów, co właśnie robiłem w dywizjonie francuskim. Najmniejsze zgrupowanie idące na operację wynosi właśnie 3 dywizjony, t.j. 48 samolotów. Bywają natomiast zadania, gdy się leci mając dokoła siebie setki samolotów własnych.

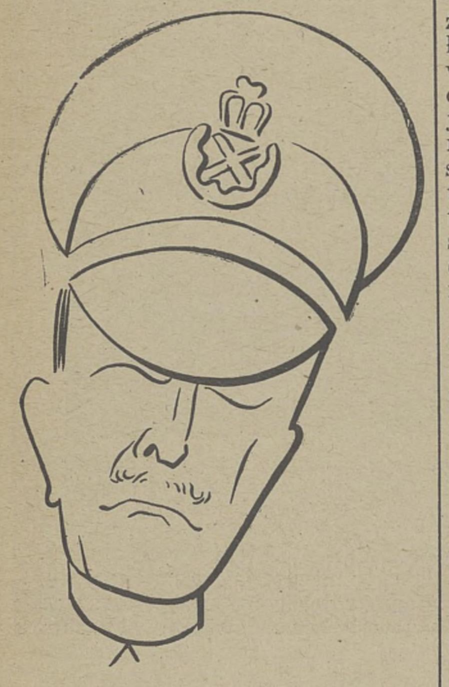
Z głębokim, mocnym szumem podchodzi mój samolot do lądowania. Znowu jestem o jeden lot bliższy zwycięstwa.



STEFAN ŁASZKIEWICZ

U dowódcy frontu włoskiego

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Generał Alexander
/rys. Marian Walentynowicz/

Włochy, w lipcu

Gdy przejeżdża się jedną z głównych szos Włoch środkowych, uwagę podróżnego zwracają na pewnych odcinkach tej szosy w odstępach rozmieszczone tablice orientacyjne, powtarzające wciąż tę samą tajemniczą literę. Najprzód czytamy, że do miejsca, oznaczonego ową literą Y, jest pięć mil, później — cztery, trzy, dwie, aż wreszcie mijamy napis: "Uwaga na następnej mili. Wjazd do Y".

Parokrotnie przejeżdżałem tą szosą i za każdym razem intrygowała mnie owa tajemnicza litera. Co ona może oznaczać? Teraz zagadka została rozwiązana. Ów szyfrowy znak oznacza kwaterę główną dowódcy frontu włoskiego, generała Alexandra. Dowiedziałem się o tym z okazji wizyty, jaką właśnie złożyłem wielkiemu wodzowi brytyjskiemu i rozmowy, którą z nim odbyłem.

Kwatera główna gen. Alexandra znajduje się w ślicznej okolicy, jednej z najbardziej malowniczych, jakie dotychczas widziałem we Włoszech. Na rozległej przestrzeni, ogrodzonej i czujnie strzeżonej, wzniesiono tam istne miasto namiotów. Obóz jest tak rozległy, że odnaleźć dany oddział kwatery głównej lub dany namiot nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Namioty są przeważnie amerykańskie, niezwykle wygodne i urządzone komfortowo. Wszędzie jest światło elektryczne /obóz posiada własne dynama/ i telefon. Oprócz namiotów, w skład kwatery wchodzą liczne wozy: dowodzenia, łączności i kontrolne. Wspomnieć też należy o licznych kasynach oficerskich /Anglicy i Amerykanie jadają oddzielnie/, kuchniach żołnierskich, łaźniach, kinie polowym, parkach samochodowych i t.p.

Wewnątrz obozu dość znaczny obszar jest ogrodzony jeszcze jednym drutem i strzeżony przez liczne posterunki. Napis na tablicy, już pośrodku tego ogrodzonego obszaru, głosi: *"C. in C. Camp"* /Obóz naczelnego dowódcy/. Przy wiodących do tego obszaru wrotach czytamy inny jeszcze napis: *"No entry except C. in C., C.C.S., C.C., D.C.G., S.A.O.S."* Znaczy to, że wstęp jest wzbroniony dla wszystkich, prócz naczelnego dowódcy, szefa sztabu i paru kategorii wyższych oficerów sztabowych.

Za drutem, na lekkim wzniesieniu, widać duży namiot generalskiej "messy" oraz drugi, mniejszy, w którym dowódca frontu przyjmuje swych gości. Nieco dalej, jeszcze wyżej, stoi wóz mieszkalny generała Alexandra. Tu znajduje się centralny punkt, z którego rozchodzą się na całe Włochy dyspozycje operacyjne i skąd kierowana jest kampania włoska.

Gdy przybyłem do obozu z szefem brytyjskiego P.R., płk. A., i przedstawiony zostałem amerykańskiemu szefowi P.R. głównej kwatery generała Aleksandra, ppłk. B., uwagę moją zwrócił od razu wielki, szary samochód, stojący przy samym wejściu do ścisłego obozu dowódcy frontu. Na samochodzie powiewał niebiesko-biało-czerwony proporczyk z Krzyżem Lotaryńskim i ustawiona była przy nim francuska warta. Obok wozu zgromadzeni byli francuscy oficerowie i korespondenci wojenni. Właśnie przed chwilą generał De Gaulle, bawiący na inspekcji we Włoszech, przyjechał tutaj, by złożyć wizytę dowódcy frontu. Obaj generałowie znajdowali się w namiocie gościnnym, wypadło mi przeto poczekać trochę na moją audiencję.

Po upływie kilkunastu minut, na wzgórku, za drutem, ukazała się grupa ludzi. Na czele szedł gen. Alexander i obok niego, gen. De Gaulle. Za nimi — generałowie francuscy Juin i Béthouart, generał brytyjski Harding oraz paru innych wyższych oficerów. Zbliżyli się oni niebawem do nas i wówczas mogłem przyjrzeć się im dokładnie. Generał Alexander, szczupły, niewielkiego wzrostu, o smukłej, wysportowanej sylwetce, jasnowłosy i niebieskooki, ubrany był w kurtkę koloru jasnobłękitnego, z licznymi wstążeczkami orderowymi na piersi. Co uderza przede wszystkim w generale De Gaulle, to jego wzrost. Jest bardzo wysoki i nieco pochylony. Twarz ma chudą, włosy dość jasne. Na ogół wygląda nie zupełnie tak, jakby wydawać się mogło z fotografii.

Przy samochodzie nastąpiło pożegnanie dowódcy frontu włoskiego z prezydentem tymczasowego rządu Francji. W chwilę potem generał Alexander podszedł do mnie z wyciągniętą ręką i rzekł zupełnie czystą polszczyzną: "Dzieńdobry panu". Udaliśmy się do gościnnego namiotu dowódcy frontu, który przypomina elegancko urządzony bar hotelowy. Tu podano wkrótce herbatę. Zasiedliśmy do niej we trzech: generał Alexander, jego adiutant, młody kapitan amerykański i ja. Rozpoczęła się rozmowa, która trwała około godziny.

Przede wszystkim Generał oświadczył mi, że zna Polskę.

—"Byłem tam" — rzekł — "w 1919 roku, wraz z Komisją Międzysojuszniczą i generałem Carton de Wiart. Byłem wówczas podpułkownikiem gwardii. Spędziłem w Polsce trzy miesiące, w Warszawie, Lwowie, Wilnie i Brześciu n.B. Byłem pod głębokim wrażeniem gorącego patriotyzmu Polaków, którzy wówczas dopiero co odzyskali niepodległość. Warszawa jest bardzo pięknym miastem . . . Ale . . , przypominam sobie, że zwiedzałem tam piękną galerię obrazów . . ."

—"Zapewne Zachętę . . ."

—"Tak, tak . . . Pamiętam też piękny park, przy jednej z alej . . ."

—"Łazienki . . ."

—"Poznałem w Warszawie sporo osób, m.in. waszego wielkiego Paderewskiego. A także i Zamoyskich".

Pytam Generała, czy nie znał Marszałka Piłsudskiego.

—"Nie" — odparł — "niestety, nie było sposobności po temu . . . Mieszkałem w Warszawie w hotelu Bristol. Ciekaw jestem, czy w międzyczasie stolica wasza zmieniła się bardzo".

Opowiadam Generałowi, jak bardzo Warszawa rozwinęła się w ostatnich latach przedwojennych. — "Obecnie" — dodaję — "znaczna jej część jest w gruzach".

—"Szkoda" — odpowiada generał Alexander — "wielka szkoda, gdyż było to wyjątkowo miłe miasto . . . Ale odbudujecie je".

Dalszy ciąg rozmowy toczył się na temat wojsk polskich we Włoszech.

—"Żołnierze polscy" — oświadczył generał Alexander — "są znakomici i mają pierwszorzędnego dowódcę w osobie generała Andersa. Jestem dumny, że mam ich tutaj, we Włoszech, pod moim dowództwem. Mają oni tylko jedną wadę: jest ich zbyt mało. Pragnąłbym mieć tutaj więcej takich żołnierzy polskich, jak ci, którzy walczą obecnie. Dajcie mi ich większą ilość. Wartość żołnierza polskiego jest ogólnie znana. Polska była zawsze krajem dobrych żołnierzy i dlatego spokojny jestem o jej przyszłość. Order Łaźni, którym odznaczony został generał Anders, stanowi, jak zresztą on sam słusznie to zaznaczył, wyraz dobrze zasłużonego hołdu dla całego II Korpusu polskiego. I obecnie również Polacy zajmują bardzo ważny odcinek frontu . . ."

Generał pyta mnie, czy widziałem Cassino, klasztor i miasto. — "Było bardzo trudno zdobyć te pozycje" — powiada.

Następnie była mowa o przyszłości Polski i o Niemczech. Przypomniałem Generałowi dzieje odwiecznego imperializmu niemieckiego, w różnych epokach historii. Czyż wielcy mistrzowie Zakonu Krzyżackiego, Fryderyk Wielki, Bismarck, Wilhelm II, bardzo różnili się od Hitlera? Byli oni przecież właściwie tym samym, tylko w odniesieniu do innej epoki i okoliczności . . . Te ostatnie zmieniły się wprawdzie, lecz treść pozostała ta sama. Wspomnieliśmy o tezach Vansittarta i o najnowszej książce Emila Ludwiga: "Jak traktować Niemców?"

—"Tak" — oświadczył generał Alexander — "trzeba raz na zawsze zniszczyć imperializm niemiecki. I zrobimy to tym razem".

Następnie dowódca frontu włoskiego objaśnił mi obecną sytuację wojenną we Włoszech.

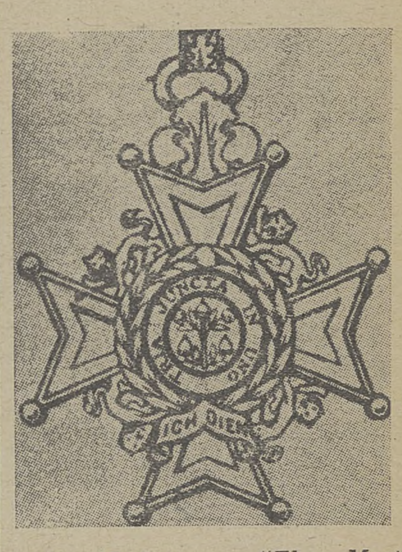
—"Odnieśliśmy wielki sukces" rzekł. — "Gra nie była bynajmniej łatwa. Niemcy są wciąż jeszcze bardzo dobrymi żołnierzami. Biją się zaciekle, mają dobrych dowódców i po klęsce szybko przychodzą do siebie. Jest to jeszcze zawsze niebezpieczny przeciwnik. A jednak, pomimo to wszystko, wygraliśmy partię i w ciągu sześciu tygodni poszliśmy naprzód przeszło dwieście kilometrów. Wzięliśmy Rzym i stoimy niedaleko Florencji. Zawdzięczamy ten sukces przede wszystkim wartości bojowej wszystkich wojsk, jakie mam pod moim dowództwem: amerykańskich, brytyjskich, francuskich i polskich. Wszystkie one biły się wspaniale".

Generał pyta mnie o moje wrażenia z Włoch i o dalsze plany reporterskie. Widać, że interesuje go żywo technika pracy dziennikarskiej na froncie. Słucha uważnie wyjaśnień i dorzuca kilka bardzo trafnych uwag. Potem podnosi się i żegna mnie po polsku. "Do widzenia panu. Szczęśliwej drogi". Musi mieć znakomitą pamięć, jeśli po tylu latach zdołał zapamiętać tak dobrze dość trudne polskie wyrazy.

Pozostałem w namiocie sam z adiutantem Generała. Młody kapitan amerykański mówi doskonale po francusku. Spędził dziesięć lat w Paryżu. Opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy o systemie pracy dowódcy frontu włoskiego, o jego niezmordowanej pracowitości i darze szybkiej decyzji. Wyznał mi, że jest szczęśliwy, iż może pracować pod takim wodzem. Opowiedział mi też, jak wiele przyjaźni i uznania żywi generał Alexander dla naszego narodu i naszych żołnierzy.

Ciemniało już, gdy poszedłem na przechadzkę po obozie. Nad nieruchomą, gładką taflą wody unosiła się lekka, wieczorna mgła. W namiotach szykowano się do snu. Tu i ówdzie słychać było dźwięki muzyki z aparatu radiowego lub gramofonu. W nadbrzeżnych trawach ćwierkały świerszcze. Nagle ujrzałem błękitną kurtkę generała Alexandra. Zamyślony, chodził między drzewami. Może obmyślał plany dalszych bitew . . .

ROMAN FAJANS



Order Łaźni — "The Most Honourable Order of the Bath" — nadany przez J.K.M. Jerzego VI. gen. Andersowi. Jest to jedno z najwyższych i najstarszych odznaczeń Anglii, zostało ustanowione w r. 1399 i wznowione w r. 1725. Krzyż orderu wojskowego jest złoty z emaliowanymi białymi polami

Dowódca frontu włoskiego dekoruje "Orderem Łaźni" dowódcę II. Korpusu Polskiego po zdobyciu Monte Cassino



Widziałem ich . . .

Znałem ich dawniej w Szkocji, widziałem ich ostatnio gdzieś w Anglii. W mieście i na kilkudniowych ćwiczeniach w polu.

Ci sami ludzie, a jednak nie ci sami. Co za wspaniali chłopcy. Prawdziwi żołnierze. Serce dumą wzbiera, gdy się ich widzi — poważnych, zrównoważonych, doskonale prezentujących się zewnętrznie. Zniknęły ślady bytowania w szkockiej Kapui. To już nie owe rozbuhane "flajtusy", wystające całe dni przed kinami, uganiające za dziewczynami i z nimi, barykadujący wszystkie bary lub rozkładający na dancingach black-watchów. *To nie owi "bohaterowie", bez względu na wiek, stopień lub dyplom, których jedynymi tematami były zdobycze miłosne, liczba wypitych "drynków" i nocy przebiczowanych w bridża.*

I dziś w pięknym mieście gdzieś w Anglii również jest pełno żołnierza polskiego, jednak dyskretnie chowa się w cieniu. Niezwykle korzystnie odbija od innych żołnierzy sprzymierzonych. Szlifowanie bruków i "łowy na upatrzoną" objęli po nich w spadku Francuzi i Amerykanie. Polacy spacerują pojedynczo lub małymi grupkami, battledressy *na nich jak ulane, spodnie wyprasowane "na nóż", buty lśnią, beret normalnie na głowie, nie dandyńsko — fantazyjnie jak w Szkocji. Satysfakcja popatrzeć, radość, że to nasi. I jeszcze jedno. Oddają honory starszym stopniem nie z miną urażonego lub pokrzywdzonego, lecz z głębokiego przekonania, że tak powinno być, że to jest konieczne nie tylko dla utrzymania nieodzownej dyscypliny, ale również dla wzajemnego szacunku.*

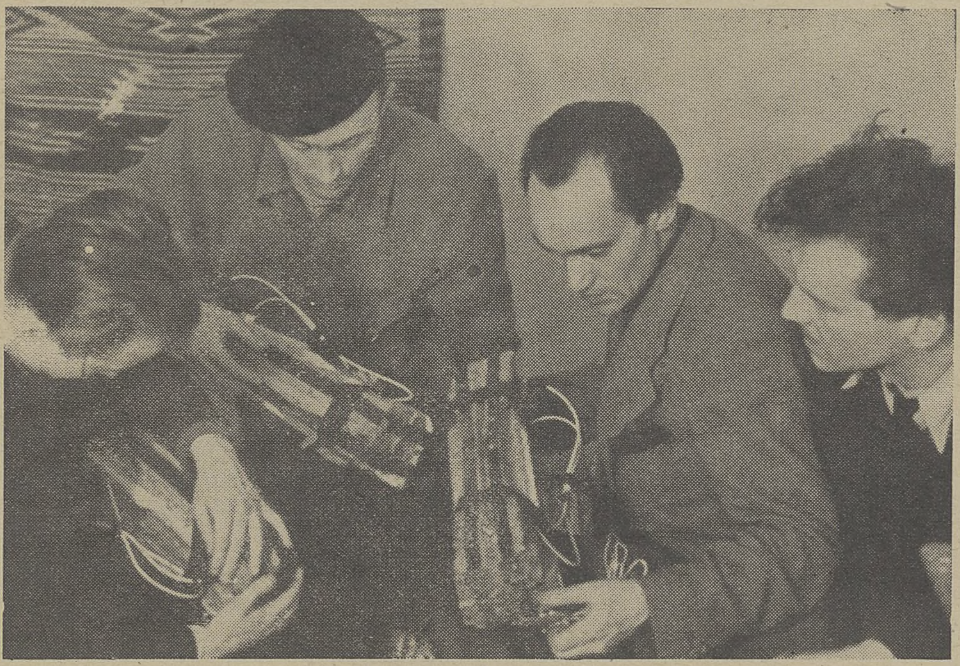
Zetknąłem się z nimi w polu, w czasie ćwiczeń. Tutaj pierwszorzędne walory żołnierza polskiego jeszcze bardziej się wybijają. Oficerowie i szeregowi tworzą dziś w tej dywizji, a niewątpliwie we wszystkich innych, które są w akcji — naprawdę jedną bryłę, wspaniale wymodelowaną w ciągu niespełna roku, rękami doskonałego rzeźbiarza. Nie ma różnicy stanowej, śpią razem pod tym samym czołgiem czy działem, jedzą razem z tego samego kotła, słuchają wspólnie tego samego radia. Krótko: są towarzyszami tej samej doli i niedoli, świadomi, że jedni bez drugich nie ostoją się i wzajemnie są sobie potrzebni. I to wszystko osiągnięto bez naruszenia dyscypliny i bez ujmy /zresztą źle pojętej/ dla stanu oficerskiego.

Obserwowałem ich uważnie. Spokój, opanowanie, zdecydowanie, powaga, zawziętość i stanowczość bije z oczu oficerów i szeregowych. Wiedzą, że zaniedługo zmierzą się z odwiecznym wrogiem, wiedzą, że niełatwe to zadanie, ale tej chwili oczekują z bijącym sercem, sercem pełnym bólu i tęsknoty. I nie zawiodą.

Pokrzepiony jak w najczystszej krynicy, wracałem pełen otuchy, podniesiony na duchu. Przede wszystkim zaś upewniony, że Londyn ze swymi małostkami i prowincjonalnymi intryżkami to nieważny epizod w życiu Polski, że Polska prawdziwa znajduje się wśród wojska o szczerym, prostym, żołnierskim sercu. Tak było zawsze i tak jest obecnie.

WACŁAW SZPERBER

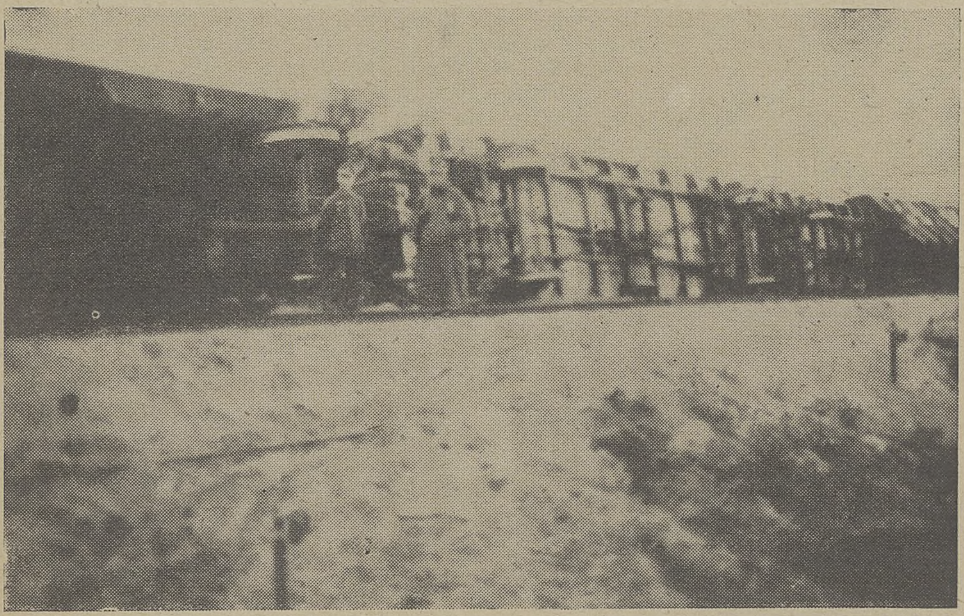
Armia Krajowa walczy z Niemcami



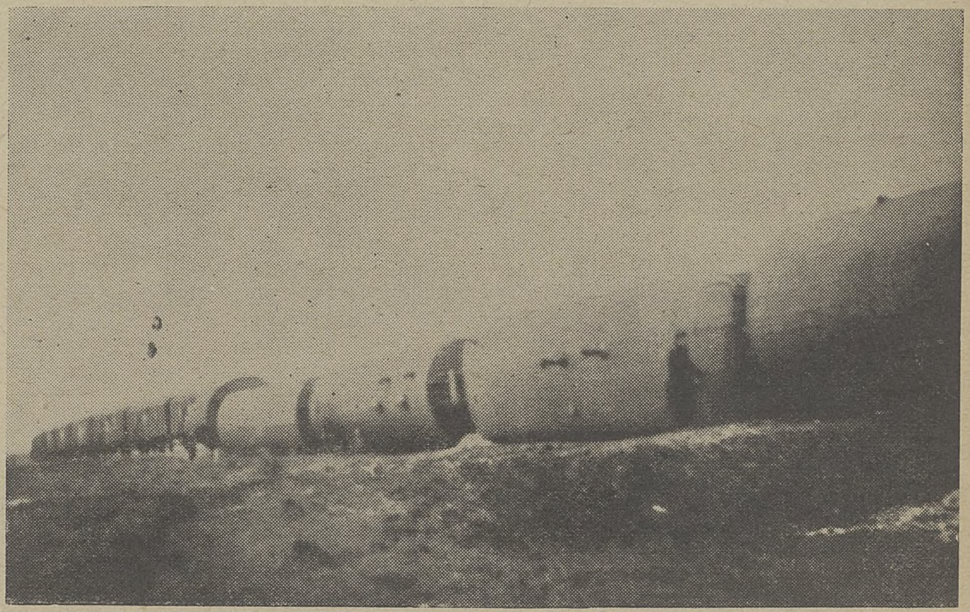
Badanie min przed wysadzeniem mostu w pobliżu Pogorzna



Wysadzenie mostu na rzece Wisłoka w nocy z 5/6 kwietnia b.r.



Niemiecki pociąg wojskowy wysadzony w powietrze



Inne zdjęcie wyników tego aktu sabotażu, który miał miejsce 12 kwietnia b.r.



Oddział 23 pułku, który brał udział w walkach o Łuck i Kowel współpracując z wojskami sowieckimi — zdjęcie z lutego b.r.



Oddział przystosowany do walk w terenie pokrytym śniegiem, brał udział w walkach wokół Wilna — zdjęcie ze stycznia b.r.



Karabin maszynowy zdobyty na Niemcach i używany przez Armię Krajową



Ciężki karabin maszynowy jednostki nr. 9 w akcji

Dwa listy z Burmy

Kilka lat temu pewna ilość oficerów polskich została odkomenderowana do szkolenia oddziałów murzyńskich w angielskiej Afryce Zachodniej. Po chlubnym wykonaniu zadania wielu z nich dowodzi teraz tymi oddziałami w Indiach i Burmie. Dwa listy, które drukujemy są pierwszym odzwierciedleniem pracy i warunków życia tej grupy Polaków, służących wspólnej sprawie na Dalekim Wschodzie.

/Przyp. Red./

I.

Szanowny Panie Kolego,

Piszę "Kolego", bo gdybym miał pisać do Redaktora nie wycisnąłbym słowa ze siebie.

Dziękuję za list, który był bardzo miłą niespodzianką dla mnie, bowiem nie przypuszczałem, że "skorzystacie" i umieścicie moje pozdrowienia dla Przeciwlotników.

Rodzina przeciwlotnicza nie była bardzo liczna, jak również nie należała do najmożniejszych, choć śmiało mogę powiedzieć, że była najmodniejsza. Przechodziliśmy różne okresy, uśmiechów, zgrzytów, szczęść i nieszczęść, tak samo jak tyle innych Rodzin Broni, w wyniku czego poroznosiło nas po całym świecie. Jest nas garstka w Anglii, w Afryce Zachodniej, Europie /Włochy/, Azji /Burma/, a nawet mieliśmy przedstawicieli w Ameryce. Ja należę do tych Indyjsko-Burmeńskich i o nich właśnie zamierzam pisać.

Naturalnie, że zacznę od pogody, bo to przecież moja pierwsza wizyta w "Polsce Walczącej". Gorąco tutaj jak w piekle /nigdy tam nie byłem, ale teściowa mego brata, która podobno stamtąd pochodziła, zwykła tak mówić/. Myślałem, że do tropikalnych upałów przyzwyczaiłem się w czasie mego pobytu na afrykańskim Złotym Wybrzeżu, Sierra Leone i Nigerii — ale gdzie tam . . .

Słońce tutejsze wypija nie tylko wszelkie płyny, które posiada moje grzeszne ciało, ale zamracza umysł i zaciemnia pamięć. Spocona kreatura ludzka czyni więc wszelkie możliwe wysiłki aby ograniczyć swe ruchy do minimum. Czasami to się udaje i człowiek po prostu leży na polowym łóżku w cienistym bambusowym domku, częściej jednak musi się snuć od stanowiska do stanowiska w nikczemnie trzęsącym samochodzie, lub — co gorsze — grzebać się w papierkach w bateryjnej kancelarii.

Na szczęście przepisy mundurowe obowiązujące tutaj nie są tak bezwzględne, urzędujemy więc i "walczymy" bez koszul. Gołe kolana i torsy, a na głowie t.zw. "*bush hat*" /kapelusz z korka/.

Wojskowych stopni naturalnie nie nosimy, za wyjątkiem sierżanta-majora /*sergeant-major*: szef baterii/, który /taki tutaj zwyczaj/ nosi swój emblemat władzy na przegubie prawej ręki /korona w wieńcu laurowym/. Nawiasem mówiąc, mój *Battery Sgt-Major* wie, że Wilno należało do Polski, bo w czasie pokoju był właścicielem "*timber business'u*" /przedsiębiorstwo handlu drzewem/ i sośninę sprowadzał właśnie z wileńskiego.

Murzyni znoszą upał bez szemrania, choć pytani: — "*Plenty hot, isn't it?*" /Dobrze ciepło, co?/ — odpowiadają:

—"*Hot pass Nigeria*".

Owszem oni też się pocą, ale to dla nich normalne zjawisko.

Koniec pocenia. Teraz o okolicy. Okolica piękna, niestety zanieczyszczona przez tubylców, których są wszędzie całe masy. Obdarci, brudni, szwargocą niezrozumiałym dla nas językiem i nieprzychylnie spoglądają na wojsko.

Droga wije się wśród szachownicy pól ryżowych. Droga zaznaczona na mapie: "*Motorable in dry season*" /do użytku samochodowego w suchej porze roku/, szeroka, o twardej nawierzchni glinianej, jest zmorą z powodu kurzu. Setki samochodów pędzących do i z portu, unoszą tumany kurzu, który wbija się we wszystkie możliwe pory ciała ludzkiego. Po kilku milach przebytych na tej drodze, biali stają się murzynami, a murzyni białymi.

Na szczęście racje "*tea*" w armii brytyjskiej są po prostu ponad zużycie, toteż częste łyki tego nektaru umożliwiają przebycie tych przestrzeni w jakim-takim stanie zdolności bojowej.

Wprawdzie to tajemnica wojskowa i nie powinienem tutaj wspominać o "zdolnościach bojowych", ale skoro tego tematu jest pełno w gazetach angielskich, więc i ja dorzucę o tym kilka słów.

Wypadło tak, że połowa mojej baterii zaawanturowała się aż pod Pagoda Hill /na południe od m. Kaledan/. Chłopaki maszerowali dziesięć dni przez dżunglę, niosąc na głowach 60 funtów bagażu, jak również amunicję karabinową i broń /palną powtarzalną pięciostrzałową, z zamkiem ryglującym od tyłu/. Kiedy ich mijałem /maszerowałem bez bagażu z wywieszonym językiem i automatycznym karabinem/ moi strzelcy, uśmiechali się do mnie, a niektórzy chwalili się, że niosą dodatkową puszkę żywności dla ośmiu ludzi. Muł by zdechł z wyczerpania, a oni szli i szli i nie brak im było energii na śmiechy i żarty. Jeden z moich oficerów po tym marszu stracił 27 funtów wagi /przed wymarszem ważył 182 funty/.

Wysiłek wojenny czasami bywa tutaj nieprawdopodobny, ale na szczęście każdy z nas ma za sobą garstkę doświadczenia i tęgi trening, toteż dajemy sobie radę.

Spotkałem kilkanaście dni temu jednego z kolegów Polaków, który spędził trzy miesiące w dolinie rzeki Kaledan i przemaszerował w tym okresie około 350 mil. Czuł się wspaniale, trochę tylko narzekał na "*bully beef*" — za często podawany do stołu. Znalazł i na to radę. W dogodnych chwilach głuszył ryby ręcznymi granatami i tak wyżył do dnia dzisiejszego.

Doktór, Polak, który mu towarzyszył w tej wyprawie, chciał wypełniać swe wolne chwile chodzeniem na punkt obserwacyjny, ale mu nie pozwolono, bo nie wiedział co to "tysięczna".



Autor pierwszego listu wśród swoich czarnych podkomendnych

/Na odwrocie fotografii jest napis: "Pozdrowienia dla kolegów z Plotniczej od kolegi z Burmy"/

Ciekawy Pan, czy widziałem Japończyków? Mógłbym zełgać, że namordowałem ich tysiące, ale skoro obiecałem pisać prawdę, więc przyznam się szczerze, że widziałem . . . dwu jeńców wojennych i kilkudziesięciu lotników, ale w powietrzu. Żółta to zaraza i zna chody po krzakach, ale nasi murzyni też nie chowani w mieście i wiedzą gdzie ich szukać.

Jeden z moich patrolów zaskoczył ich w czasie południowego posiłku i przesłał im kilkanaście ręcznych granatów na deser. Cieszyli się moi gunnerzy z tego kawału, choć ta przygoda zakończyła się smutnie, bo utratą jednego białego podoficera.

Tak więc żywot płynie tutaj pod słonecznym niebem indyjsko-burmeńskim. Czasami spadnie mi z nieba kilka numerów "Polski Walczącej", niekiedy zbyt rozszlochanych cierpiętnictwem i sentymentalizmem. Dziwię się wówczas, skąd u diabła w tak romantycznym narodzie tyle ikry i zacietości.

Jest nas tutaj sporaśna garstka Polaków i chcielibyśmy wszyscy utrzymać ściślejszy kontakt z wami, ale tutejsze warunki nie bardzo temu sprzyjają.

Natomiast taki właśnie krótki list otrzymany od Pana, a nie od "Redaktora", rozkrochmalił mnie przyjacielsko.

Ściskam dłoń i życzę powodzenia w walce z cenzorami.

MIECZYSŁAW BOENISCH

II.

Szanowny Panie Redaktorze,

Sprowokował mnie Pan do pisania o naszym życiu w Burmie. "Słowo się rzekło . . ." Oto trochę informacji o nas, o kraju, w którym żyjemy i warunkach życia tutaj.

Z krajów odwiedzanych w czasie tej wojny, Indie wydają mi się najbardziej drogie. Życie dla osób o ograniczonych dochodach, jak wojsko, jest po prostu niemożliwe. W sklepach i hotelach rachunki są obliczane na funty, a nie szylingi. Monetą obiegową jest *ruppee*. Wszystko tu kosztuje podwójnie. Na terenie Indii nie ma spółdzielni wojskowych, cywilni dostawcy mają żniwo przez 12 miesięcy w roku. Trudność kontrolowania cen jest wielka.

Ulice Calcutty w dzień i w nocy są przepełnione mundurami wojsk amerykańskich. Czupurne furażerki i barwne baretki zdobią młode, niemal dziecinne twarze kapitanów, i majorów U.S. Widzi się mundury wyjściowe /urlopowiczów/ i ciemno brudne drelichy będących w przejeździe. Wszystkie lokale są przepełnione. Nikt tu nie liczy się z pieniędzmi. Nocne życie wre pełną parą.

Calcuttę opuszczaliśmy z żalem. Tak rzadko i na krótko odwiedzaliśmy duże miasta. Ostatnie trzy lata spędziliśmy w afrykańskim *bushu*, w długich kursach morskich i bezludnych stepach indyjskich.

Po kilku dniach podróży zbliżyliśmy się do linii frontowej. Tu nastąpiło przemundurowanie i farbowanie wszystkiego na zielono. Zaopatrzono nas w czarny krem do twarzy i byliśmy gotowi.

Miejscowa ludność przypatrywała się nam obojętnie, ceny jaj i drobiu podskoczyły do cen londyńskich. I mimo, że w Bombaju na kurę wołają po polsku — "kura", to jednak taniej niż 6 szylingów nie chciano nam sprzedać.

Równiny Bengalu pokryte są siecią drobnych pólek ryżowych, obwarowanych ziemnym wałem dla zatrzymania upływu wody w porze deszczowej. Miejscowe stare farmy chowają się w zieleni rozłożystych stuletnich drzew. Omszałe budowle o ozdobnych frontonach, wznoszone z dużej czerwonej cegły są wymierającą pozostałością farmerskiej zamożności. Nowych pokoleń nie stać na nic lepszego, jak bardzo prymitywne bambusowe domki. Rosną one jak grzyby po deszczu. Coraz ich więcej i więcej. Coraz bliżej siebie. Staje się coraz ciaśniej. Coraz mniej ryżu przypada do podziału bardzo licznej dziatwie Bengalu. Czarne, drobne, hałaśliwe cyganiątka uganiają po ryżowych ścierniskach, bawią się na klepiskach, jakby to było gdzieś na polskiej wsi. Stogi ryżowe i rozplanowanie gospodarstw są nieraz zbliżone do polskich zaścianków. Może to właśnie bengalscy cyganie podpatrzyli w Polsce?

Długi okres suszy zmusza ich do nawadniania pól. Każde gospodarstwo ma głęboką cembrowaną studnię. Na dużym kole zawieszone są drewniane garnki, a pracowite woły bez ustanku depczą ścieżkę w koło studni, obracając wał, czerpiący wodę. Czasami spotyka się skrzypiące żórawie, i któżby powiedział, że to jest Bengal?

W Bengalu gościliśmy krótko i fantastyczną drogą poprzez rzeki i góry ruszyliśmy na wschód w stronę Burmy.

Oto A.B.C. o Burmie. Wschodni sąsiad Indii, Burma, o niepomiernie mniejszej ludności — 15 milionów ludzi na 261.610 mil kwadratowych powierzchni, bronił się od dawna przed zalewem hinduskim. Stosował skuteczną obronę nie budując dróg, prowadzących z zachodu na wschód. Mimo to liczba sezonowych robotników z Indii w r. 1927 osiągnęła 400.000. Bardzo tani, hinduski robotnik rolny obniżał poziom życiowy rolnika Burmy. Doprowadziło to do starć, a po *Rice Riots* w roku 1930 liczba robotników spadła do 2.500 rocznie.

Burmeński ryż jadamy często, a kiedy dostawy zawodzą, staje się naszym chlebem codziennym. Jest to ryż bardzo wysoko gatunkowy, wielko-ziarnisty. Tubylec nie ma wiele kłopotu z łuszczeniem. Duże wydrążone pnie twardych drzew i pal o zaokrąglonym końcu — to wszystko czego trzeba do tego procederu. Od wschodu słońca młode, na pół rozebrane dziewczęta stoją kołem i na zmianę, rytmicznie podnoszą i opuszczają pal; wydrążenie pnia jest wypełnione do połowy ryżem. Pożywieniem ich jest ryż, okraszony czasami rybą i banany.

Nie mało tu kłopotu mieliśmy z płcią. Pierwszych prawdziwych Burmeńczyków spotkaliśmy w głębi kraju. Byli to uchodźcy. Nadzy, dźwigający cały majątek na plecach w koszach trzcinowych, zgięci w kabłąk. Kobiety dosłownie obczepione dziećmi. Rasa dość ładna: niskiego wzrostu, o skórze koloru miedzi. Mężczyźni noszą długie włosy, mają okrągłe twarze bez zarostu, skośne nieco, czarne oczy, kolczyki w uszach. Są bardzo podobni do kobiet. Z twarzy nie pozna się płci. Nasi żołnierze nawet zaczęli romansować przez pomyłkę. Wszyscy palą — kobiety i mężczyźni — bambusowe fajki.

Lecz Burma to nie tylko pole ryżowe, eksportujące 7 milionów ton ryżu rocznie. To wielki rezerwuar benzyny i oleju. *The Burma Oil Company* zatrudnia 40.000 robotników i wywozi 1.260.000 litrów benzyny rocznie, przeważnie do Indii.

Poza tym Burma zaopatruje cały świat w najsłynniejsze drzewo meblowe. Rzeki w północnej części zawierają bogate pokłady złota. Wielkie złoża srebra, wartościowe kamienie, cyna i guma, czynią z Burmy pokusę dla wielu przedsiębiorczych Anglików, Chińczyków i Hindusów. Właściwie Burma wypłynęła na powierzchnię 60 lat temu, wiąże się to ściśle z otwarciem Kanału Suezkiego. Ale ciągle pozostaje zagadkowa, nikt nie zna jej bogactw. Jest i będzie terenem walk o wpływy i eksploatację.

Jedno wspomnienie historyczne. Kiedy w XII-ym wieku Kublai Khan, imperator chiński najechał Burmę — król burmeński wystawił do obrony wielką armię 2.000 słoni i 60.000 piechoty. Czy nie są to cyfry imponujące? Każdy słoń miał na sobie wieżę obronną i załogę 12 — 16 dobrze uzbrojonych wojowników. Z dawnej potęgi pozostały do dziś jedynie wielkie słonie. Spotykamy je często, atakują nieraz nasze nocne obozy, a więc i one są po stronie Japończyków.

Podczas inwazji japońskiej w roku 1942 zabrakło przewódcy. Naród burmeński zachował się biernie, a nawet pod wpływem japońskich agitatorów — okazywał pomoc najeźdźcy. Znikoma jedynie garstka studentów dołączyła do cofających się wojsk brytyjskich i dziś ponownie bierze udział w wojnie. Poznałem ich bliżej.

W jakieś niedzielne popołudnie odwiedził mnie ksiądz katolicki, z pochodzenia Irlandczyk, wiecznie uśmiechnięty, miły — przyniósł parę książek, a poza tym "zamówił" mnie na polowe nabożeństwo. W prymitywnej świątyni, na tle czarnych i białych, wyróżniały się modlące się w pokorze postacie młodych Burmeńczyków. Niepomiernie byłem uderzony tym widokiem. Od tego nabożeństwa — w wyschłym korycie rzeki, pod bambusowym krzyżem jakaś nić nas sprzęgła.

Uśmiechają się i pozdrawiają mnie zawsze z daleka. Nie mijamy się bez zatrzymania. Słowem jesteśmy na drodze do bliższej przyjaźni. Moi burmeńscy przyjaciele są bardzo młodzi i inteligentni, mówią biegle po angielsku, mają dziecinno-panieńskie twarze.

Pewnego razu jeden z nich, Sheli — zniknął z powierzchni. Nie wiedzieliśmy co mu się przydarzyło. Wyszedł na patrol i nie wrócił. Aż nagle spotykam go kąpiącego się w rzece. Pytam go:

—"Co z tobą?" Mongolskie czarne oczy zapaliły się świetlikami, perłowe zęby ukazały się w uśmiechu i mój przyjaciel zaczął od tego, jak to będąc na patrolu, skradał się do wioski, widział Japończyków i chciał ich przeliczyć. Siedząc pod krzakiem usłyszał głosy za sobą i raptem jakaś ręka złapała go za gardło. "Już po mnie" — pomyślał. Pod japońską strażą przesiedział noc. "Gorąco modliłem się całą noc i Bóg mi dopomógł — ciągnął opowiadanie. — O świcie udało mi się nawiać. Ale zabrali mi mój pierwszy zegarek". — Powiedział to z takim żalem — biedny Sheli!

Wojna w Burmie nie jest, jakby wydawać się mogło, walką kolorowych ras w dżungli z użyciem dzidy, oszczepu i łuku. Walczą tu nowoczesne bronie z pełnym okrucieństwem. Warkot ciężkich samolotów, piekło palącej się dżungli, echa eksplozji bomb lotniczych, poszczekiwanie c.k.e-mów zmieniły rozległe, bezludne obszary Burmy do niepoznania. Były tu i przedtem pożary bambusowych lasów, sitowia i zeschłej trawy, lecz to jest bez porównania z grozą zawisłą obecnie.

Chytry Japończyk wkopuje się w ziemię i trzeba nieraz uciekać się do bardzo stanowczych środków, ażeby go wykurzyć. Normalnie każdy ma trzy pozycje. Pierwszą — gdzieś wysuniętą o milę na przedpola, gdzie obserwuje i przesłania. Drugą w tyle, gdzie walczy i opóźnia. Ostatnią, do której się cofa tylko na rozkaz — i ginie.

Jego ekwipunek jest lekki. Pożywieniem — ryż i soja. Śpi w lisich norach, wkopując się w ziemię. Modli się do wschodzącego słońca. Nosi ze sobą maskoty. Wierzy w skuteczność modłów za niego tych wszystkich, którzy żegnając, zaopatrzyli go w jedwabne szarfy z propagandowymi hasłami i własnymi podpisami.

Każda niemal noc ilustruje ogniami przebieg dziennych walk. Ogień artylerii i bomb lotniczych wypisuje dziwne zygzaki na wzgórzach, które płoną nocą. I patrząc na różnokolorowe wstęgi pożaru doznaje się wrażenia, że to płoną neony, znane z nocnego życia miast. Neony kin, barów, hoteli i kabaretów wskazują na centra życia, neony Burmy znaczą śmierć. Obramowane bombami obozy nieprzyjaciela wygasają rano i oprócz prochu, zgliszcz i zwęglonych ciał, nic nie pozostaje . . .

A kiedy nastaje monsum, ustają walki. Wojna tu trwa od listopada do maja. Potem przychodzą bezgranicznie długie dni szarugi, kiedy deszcz leje bez ustanku. Wezbrane rzeki zalewają pola i drogi. Życie zamiera. Tylko na wzgórzach czuwają placówki, aby nowy sezon walk rozpocząć z wygodnych pozycji, z furią i bez wytchnienia. Biali, czarni, Hindusi, Burmeńczycy — zjednoczeni pod znakiem *Union Jack*.

Burma jest ważną pozycją na froncie Dalekiego Wschodu. Droga burmeńska musi być wkrótce otwarta, aby Chinom dać pełną pomoc w zadziwiająco uporczywej walce o wolność i przewodnictwo na Dalekim Wschodzie.

RYSZARD BLUSIEWICZ

Bez blackoutu

W numerze 6-ym dwutygodnika sowieckiego: "Wojna i klasa pracująca" ukazał się artykuł Ilii Ehrenburga p.t. "Los pokoleń". Artykuł ten z wielu względów zasługuje na uwagę. Los pokoleń — to wymowny tytuł. Tak nazwać można by wszystkie dzisiejsze myśli nasze, ześrodkowane wokół pytań: "Jaki los wypadł nam?", "Jaki będzie los pokoleń polskich?".

Oczywiście Ehrenburg troszczy się o los przyszłych pokoleń sowieckich, zagrożonych przez . . . "europejski faszyzm". Według niego "faszyzm" ten musi być nie tylko rozbrojony, ale zniszczony. Żeby nikt nie miał złudzeń dodamy, że z dalszego ciągu artykułu wynika, iż odmiany "faszyzmu" i "półfaszyzmu" kryły się na długo przed dyktaturą Hitlera nie tylko w militaryźmie Prusaków i manii wielkości D'Annunzia, ale również w okrzyku "Jaśnie-wielmożnych": "Polska od morza do morza!"

Według Ehrenburga "faszyzm" objawia się w dążeniu innych narodów do wielkości. Czai się on w idei: "Wielkiej Rumunii", "Wielkiej Finlandii" i . . . "Wielkiej Polski". Odpowiemy, że jeżeli każde dążenie do wielkości jest faszyzmem, to Ehrenburg gotów awansować na tamtejszego Goebbelsa. Zresztą czołowy pisarz sowiecki powinien pamiętać, że to właśnie Kreml zapewniał i zapewnia uparcie cały świat, iż pragnie Polski wielkiej i silnej. A my powtarzamy niemniej uparcie, że chcemy wolnej, całej, nietkniętej. Powtarzamy to z myślą o losie przyszłych pokoleń polskich. Na pewno w chwili obecnej mamy więcej powodów do zastanawiania się nad tym, niż pan Ehrenburg trosk, związanych z losem pokoleń sowieckich zagrożonych przez "faszyzm".

Czytamy dalej w tym artykule:

"Żołnierze rosyjscy, marynarze angielscy, lotnicy amerykańscy, partyzanci Jugosławii i Francji, którzy zginęli w bitwach przeciw "faszyzmowi", nie mogą brać udziału w sporach o przyszłość. Polegli oni myśląc, że oddają swe życie za uwolnienie ziemi od okrutnego zła. Czy ośmielą się żyjący zdradzić poległych bohaterów?" . .

Dziwna rzecz. Dziwne skojarzenie myśli ludzkich. Podobne pytania i nam cisną się na usta tylko w krańcowo różnych sytuacjach politycznych. Żołnierze polscy z Kampanii Wrześniowej, Grenadierzy I Dywizji we Francji, nasi lotnicy z "Bitwy o Wielką Brytanię", marynarze z "Orła", "Gromu", "Kujawiaka", "Orkanu", Podhalanie spod Narviku, Karpatczycy z Tobruku, Kresowiacy spod Monte Cassino, żołnierze Armii Krajowej, którzy zginęli w bitwach przeciwko faszyzmowi — nie będą również brać udziału w sporach o przyszłość Polski. Ta przyszłość nie zagrożona przez żadną obcą przemoc — to święte hasło, w imię którego polegli oni, myśląc, że oddają swe życie za uwolnienie całej ziemi polskiej od obcych zaborów. Nie wiem, czy spodziewał się p. Ilia, że właśnie żołnierz polski bez chwili wahania powtórzy w swoim piśmie jego słowa . . .

Tragiczna jest polska aktualność pytania: "Czy ośmielą się żyjący zdradzić poległych bohaterów?" Nie! Po stokroć nie! I dlatego powinien Ilia Ehrenburg napisać nowy artykuł, w którym wyjaśni, że "Jaśniewielmożni" nie chcą Ojczyzny "od morza do morza" tylko "Od granicy do granicy", ściśle według Traktatu Ryskiego, że o tej "wielkiej i silnej", o której wspomina Ehrenburg, częściej mówił Stalin, niż my. I że wreszcie żyjący Polacy nie zdradzą tych, którzy z imieniem Polski na ustach przez pięć lat ginęli na własnej lub obcej ziemi.

Nie zdradzą, bo zdają sobie sprawę, że pomiędzy pojęciem wielkości obszaru kraju, która się pisze przez małe "w", a Wielkością narodu, na którą składają się setki lat i zdobycze duchowe całych pokoleń — jest zasadnicza i wymowna różnica. Nie zdradzą, bo codziennie, i w tej chwili, gdy piszemy te słowa, lotnik i marynarz polski startują z brzegów Wielkiej Brytanii do boju, myśląc, że w razie potrzeby oddadzą swe życie za uwolnienie ziemi polskiej, bo z tą samą myślą, gdy nadejdzie czas, pójdzie do walki na Kontynent polska dywizja pancerna czy spadochronowa. Więc ta myśl zobowiązuje, przypomina żyjącym o wielkiej, historycznej odpowiedzialności — odpowiedzialności za los pokoleń.

Los przyszłych pokoleń polskich nie jest zagrożony przez "faszyzm", bo "jaśnie-wielmożni" umieją trzeźwo patrzeć i czytać między wierszami nawet u Ehrenburga, który w innym ustępie artykułu pisze tak:

"Chwilami wydaje się, że łatwiej jest rozbić dywizje niemieckie, niż oczyścić z kłamstw faszystowskich umysły pewnych obserwatorów" . . .

I znowu jakby nam z ust wyjął. Nam się też chwilami wydaje, że łatwiej rozbić dywizję niemiecką, niż oczyścić z kłamstw "umysły pewnych obserwatorów". Szczególnie, gdy kłamstw tych coraz więcej. Czasem zupełnie się już nie krępują, gdy n.p. nazywają Wilno "stolicą litewskiej republiki sowieckiej", którego to faktu nie uznał jeszcze nikt prócz . . . Hitlera; czasem kłamstwa te są zawstydzająco delikatne, gdy wytworzoną sytuację obecną na północnowschodnich ziemiach Rzeczypospolitej nazywają "linią nowej Polski".

Trzeba mocno wbić w umysły "pewnych obserwatorów" słowa Ehrenburga w znaczeniu polskim o żyjących, którzy nie mogą zdradzić poległych.

W dalszym ciągu artykułu: "Los pokoleń", autor w ostry sposób atakuje niektórych Brytyjczyków lub Amerykanów, których uważa za pół — lub nawet całych "faszystów". Wśród ofiar ataku znajdujemy Mr. Knoxa, angielskiego działacza społecznego, Mr. McGovern'a, koncern Hearsta i nowojorską: "Daily News". Pisze on:

" . . . Wszystko u Rosjan oburza tych panów. Gdy Czerwona Armia cofała się krzyczeli oni: "Nie ma co pomagać skazanym". Obecnie, gdy Czerwona Armia idzie naprzód, krzyczą oni: "To groźba dla Europy". Gdy kuranty moskiewskie grały "Internacjonał", gazety te protestowały: "Niebezpieczni międzynarodowcy". Po zaznajomieniu się z nowym hymnem naszego państwa te same gazety lamentują: "Niebezpieczni nacjonaliści". W grudniu oburzali się oni na "rosyjski centralizm", a w styczniu powstają oni przeciw sowieckiej decentralizacji.

Piszą oni: "Nie uznajemy zaboru" — i od razu wyjaśniają, że Wilno zagarnięte przez Polaków, a Kiszyniew, zagarnięty przez Rumunów, należą się z prawa zaborcom. Co znaczą te miłosne wyznania dla faszystów i te oszczerstwa przeciwko Związkowi Sowieckiemu? Jedno tylko: mikroby nie potrzebują ani wiz, ani statków ani "Clipperów" . . ."

Jak widać z tonu i z treści, dwutygodnik rosyjski niczym się nie krępuje . . . Cenzura tamtejsza wydaje się mniej lojalna wobec wszystkich sprzymierzonych i w niczym nie przypomina podobnych urzędów na terenie Wielkiej Brytanii i Ameryki. Rzecz godna zapamiętania. Można żądać wzajemności w tej swobodzie dziennikarskiej. Artykuł: "Los pokoleń" kończy się dość romantycznym — jak na Ehrenburga — zwrotem:

" . . . Gdy patrzę na dziecko, na malutkie drzewko, na grudkę gliny, myślę: czy podobna, abyśmy, my, którzy przeżyli dwie straszliwe wojny, zrozumieli całą nieludzką istotę faszyzmu, nie uratowali naszych dzieci przed takim samym losem? Nasza armia, nasz naród, wykazały podczas wojny dojrzałość, odwagę, siłę ducha. Wygramy wojnę. Musimy wygrać i pokój . . ."

Tak — wschodni sąsiedzie, Ilio! I ja i moi koledzy-żołnierze te same nosimy w sobie myśli, gdy patrzymy na małe dzieci polskie, cudem uratowane, gdy patrzymy na malutkie drzewka szkockie, które przypominają nam wileńskie lasy, na grudki gliny polskiej z ziemi lwowskiej, którą uwieźliśmy w woreczkach i nosimy na piersiach . . . Te same myśli, choć może z małą, nieznaczną odmianą słów, wypowiadają dzisiaj Polacy na całym świecie, pytając siebie i innych: Czy możliwe jest, abyśmy nie uratowali dzieci naszych przed losem pokolenia lat tysiąc dziewięćset czterdziestych, masowo wywożonego z ziemi polskiej na Wschód i Zachód do łagrów syberyjskich i obozów niemieckich?

Nasz naród, nasza armia wykazały odwagę, dojrzałość i siłę ducha. Straszliwą, ponadludzką miarę siłę ducha. Wygramy wojnę? Jesteśmy tego pewni. Pokoju wygrywać nie będziemy. My żyjący w tej czarnej rzeczywistości spokojnie patrzymy w jasną przyszłość. Bije stamtąd światłość święta tego pokolenia, które na polach bitew wrześniowych wygrało za nas pokój. To oni wówczas zadecydowali o losie pokoleń polskich padając w obronie granic Rzeczypospolitej, gdy zagroził jej całości pierwszy atak faszyzmu niemieckiego.

Wpatrujemy się wiernie w tę światłość. Nie zdradzimy jej nigdy.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 4293 książek

Poszukiwania

WYKAZ NR. 37

Osoby te jak również znajomi, posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, Londyn, S.W.1.

81. **Makowski** Władysław sierż. i **Makowski** Tadeusz ppor. — poszukiwani przez ojca Kazimierza i matkę Wiktorię, zam. w Z.S.R.R. /3800/83/.
82. **Malicki** Stanisław kpt., był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Janinę i córkę Marię, zam. w Z.S.R.R. /3800/100/.
83. **Mleczko** Władysław ur. 19.VII.1919 r., Lwów — poszukiwany przez brata Romualda Mleczko mata, Marynarka Wojenna Londyn /6275/43/.
84. **Mariak** Adam szer. — poszukiwany przez matkę Stanisławę i brata Tomasza, zam. w Z.S.R.R. /3800/83/.
85. **Masalski** Cezary por., był w Paryżu — poszukiwany przez matkę Zofię, zam. w Z.S.R.R. /3800/101/.
86. **Mayer** /bez imienia/ kpt. — poszukiwany przez żonę Jadwigę, zam. w Z.S.R.R. /3800/102/.
87. **Michalec** Andrzej sierż. — poszukiwany przez siostrę Marię i jej dzieci: Janinę, Wandę i Urszulę, zam. w Z.S.R.R. /R/18/.
88. **Michałkiewicz** Wacław — poszukiwany przez matkę, zam. w Z.S.R.R. /R/42/.
89. **Michałowski** Jan, był aresztowany — poszukiwany przez matkę Michalinę i brata, zam. w Z.S.R.R. /3800/99/.
90. **Michniewicz** Zenon, był w Smoleńsku — poszukiwany przez siostrę Zofię i Wandę, zam. w Z.S.R.R. /R/20/.
91. **Mickiewicz** Michał strzel. — poszukiwany przez żonę Lidię i córkę Wiesławę, zam. w Z.S.R.R. /R/549/.
92. **Miłkowski** Stanisław — poszukiwany przez syna Tadeusza, zam. w Z.S.R.R. /R/41/.
93. **Miszkel** Wacław szer. — poszukiwany przez ojca Aleksandra, brata Adolfa i siostrę Alinę, zam. w Z.S.R.R. /R/55/.
94. **Mrówka** Antoni szer. — poszukiwany przez ojca Adama, matkę Stanisławę i rodzeństwo: Jadwigę i Janinę, zam. w Z.S.R.R. /R/56/.
95. **Naglik** Józef sierż. zaw. — poszukiwany przez żonę Anastazję i dzieci: Zenona, Ryszarda i Teresę, zam. w Z.S.R.R. /3800/98/.
96. **Nowiński** Alfred por., był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Jadwigę, matkę i dwoje dzieci, zam. w Z.S.R.R. /R/29/.
97. **Noskowicz** /bez imienia/ sierż. — poszukiwany przez żonę Marię i dzieci: Wandę, Stefana, Jerzego, Mieczysława i Jadwigę, zam. w Z.S.R.R. /3800/104/.
98. **Ogiński** Julian st. szer. — poszukiwany przez żonę Annę i córkę Halinę, zam. w Z.S.R.R. /R16/.
99. **Okoński** Jan por. — poszukiwany przez żonę Bronisławę i córkę Marię-Wandę, zam. w Z.S.R.R. /R/10/.
100. **Orłowski** Władysław — poszukiwany przez córkę Irenę i Halinę, zam. w Z.S.R.R. /R/41/.
101. **Orzeł** Jerzy ppor., był w Kozielsku — poszukiwany przez matkę Jadwigę i siostrę, zam. w Z.S.R.R. /R/42/.
102. **Ostaszewicz** Antoni — poszukiwany przez żonę Stefanię i dzieci: Zbigniewa i Kazimierza, zam. w Z.S.R.R. /R/19/.
103. **Owczarek** Stanisław ppor., był Kozielsku — poszukiwany przez synów Henryka i Jerzego oraz babkę Wróblewską Mariannę, zam. w Z.S.R.R. /R/28/.
104. **Pabian** Franciszek st. wach. żand., był w niewoli sowieckiej — poszukiwany przez żonę Helenę i dzieci: Irenę, Ryszarda, Wiesławę i Teresę, zam. w Z.S.R.R. /3800/107/.
105. **Paszkiewicz** Mirosław — junak, jest podobno w Anglii — poszukiwany przez matkę Stefanię i braci: Zbigniewa i Andrzeja, zam. w Z.S.R.R. /R/16/.
106. **Pawłowski** Aleksander szer. — poszukiwany przez ojca Aleksandra, matkę Henrykę i rodzeństwo Barbarę i Marię, zam. w Z.S.R.R. /3800/83/.
107. **Pawluczuk** /bez imienia/ podchor. — poszukiwany przez matkę Annę, zam. w Z.S.R.R. /3800/105/.
108. **Peredniczenko** Borys pilot-mechanik —poszukiwany przez ojca Jakóba i matkę Marię, zam. w Z.S.R.R. //R37/.
109. **Pietraszkiewicz-Strumiłła** Czesław lotnik — poszukiwany przez ojca Stanisława i matkę Nadzieję, zam. w Z.S.R.R. /R/37/.
110. **Pokoniewski** Stanisław ppor., był w niewoli sowieckiej — poszukiwany przez żonę Marię i syna Zdzisława, zam. w Z.S.R.R. /3800/106/.
111. **Rabach** Marek dr. kpt. — poszukiwany przez żonę Felicję i córkę Irenę, zam. w Z.S.R.R. /3800/84/.
112. **Skinderowicz** Henryk sierż. — poszukiwany przez Kazimierza Baranowskiego M.E.628 /6497/43/.
113. **Urbanowicz** Feliks ur. 1900 r. — poszukiwany przez ochotniczkę Garest Marię P/69 /6232/.
114. **Ziętara** Antoni — poszukiwany przez żonę Eugenię, zam. Kolonia Santa Rosa, Leon, Gto. Meksyk /7252/43/.
115. **Zukowski** Kazimierz z pow. Baranowicze, gmina Stołowicze który w 1913 r. wyjechał z Polski do U.S.A. — poszukiwany przez szwagra Władysława Kończaka /Box 260/44 — G.P.O. London/, oraz siostrę Malwinę Kończak /Polish Settlement Kondoa Irangi — Tanganyka E.A./.

* * *

1. **Abłażej** Julian z żoną Zofią i dziećmi: Genowefa, Kazimiera, Zygmunt, Leon /podchr. zginął w 1939 r./ przebywają: Aktiubińskaja obłaść, Rodnikowskij rajon, Rodnikowa.
2. **Andruszko** Michał, przebywa: Aktiubińskaja obłaść, Temirskij rajon, K/Z 1 Maj, Borodniowskogo S/S.
3. **Babińska** Jadwiga ze synem i siostrą /mąż por. Zygmunt zmarł/ przebywają: Aktiubińskaja obłaść, Akkemir rajon, Akkemir ul.
4. **Bednarska** Janina, przebywa: Aktiubińskaja obłaść, Temirskip rajon, K/Z Put Lenina, Graczewskogo S/Sow.
5. **Chamiec** Stefan /inwalida z obrony Warszawy/ z żoną Ksawerą i córkami: Janiną i Franciszką, przebywają: Aktiubińsk ul. Promyślna 7.
6. **Czaplińska** Czesława, z synem Romanem, przebywa: Aktiubińskaja obłaść, Martukskij rajon, Posiołok Nowo-Michajłowka.
7. **Czop** Janina, przebywa: Aktiubińskaja obłaść, Temirskij rajon, K/Z IM. Kaganowicza, Egarowskogo S/Sow.
8. **Dąbrowiecka** Maria, przebywa: Aktiubińskaja obłaść, Temirskij rajon, K/Z Im. Stalina Nr. 17, Graczewskogo S/Sow.
9. **Dendys** Wojciech /inwalida bez ręki/ z żoną Magdaleną i dziećmi: Stanisławem, Leonem, Julianem, Albinem i Julią, przebywają: Komi A.S.S.R., Kortkierowskij rajon, Mordino pos. Czetdino.

Skrzynka pocztowa

LIST Z AMERYKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Dostał się w moje ręce jeden egzemplarz "Polski Walczącej" i polubiłem ją ogromnie.

Ja jestem Polakiem, amerykańskiego pochodzenia i wszelkie sprawy polskie są mi najbliższe.

Jeśli Pan Redaktor uważa to za odpowiednie, to proszę o zamieszczenie mej prośby o przeczytane egzemplarze "Polski Walczącej", za które będę ogromnie wdzięczny.

Cześć!

Pvt. Leo Rainer A.S.N. 12057971
Valley Forge Gen. Hosp.
Phoenixville, Pa.

LIST Z ARGENTYNY

Panie Redaktorze!

W tych dniach otrzymałem list od Zarządu "*Circulo Argentino Polonia Libre*" z Buenos Aires, naturalnie, w języku hiszpańskim.

Ze względu, że organizacja ta, tak na terenie Argentyny, jak i na innych terenach Południowej Ameryki działa owocnie i jest wypróbowana w przyjaźni do tamtejszej Polonii, jak i do ogólnych spraw polskich, uważam za stosowne przesłać Panu Redaktorowi treść tego listu, prosząc, o łaskawe umieszczenie go w jego poczytnym wydawnictwie. Dodaję, że organizacja ta składa się, w większości, ze studentów wyższych szkół.

Z góry serdecznie Panu Redaktorowi dziękuję za zadośćuczynienie i łączę głęboki szacunek oraz żołnierskie pozdrowienie.

Buenos Aires, 3 Maj 1944 *r.*

Drogi Przyjacielu!

Pragniemy, w dniu polskiego święta narodowego, przesłać nasze gorące pozdrowienie oraz wyrazy sympatii i przyjaźni dla Ciebie, który jesteś przykładem, jednym z wielu, walecznych ochotników, których widzieliśmy odjeżdżających z naszej ziemi do otwartej walki o ideały i wolność świata.

Z komunikatów wiemy o waszych zamiarach i staraniach, które realizujecie sprawnie przy stanowczej decyzji i ofiarnym poświęceniu żołnierzy sił narodowych Rzeczypospolitej.

Codziennie czytamy o powodzeniach i wyczynach lotników, marynarzy i żołnierzy walczących na różnych frontach. Konieczność ta, jest zapewne jedyną linią moralnej satysfakcji dla walczących Polaków, którzy, wszelkim wątpliwościom, przeciwstawiają mocne postanowienie walki, bo wiedzą, że wytrwałość w działaniu przyniesie im należne zwycięstwo.

Z tej okazji publicznie manifestujemy, tutaj w naszym kraju, naszą wolę, ażeby stała się sprawiedliwość sprawie polskiej, przez przywrócenie niepodległości i całości Polski w świecie wolnym, w którym by szlachetny naród korzystał ze wszystkich praw i możliwości wielkich narodów, posiadając swą państwowość na terenie minimalnych granic z 31 *sierpnia* 1939 *roku.*

Zechciej podzielić się, z kolegami walki, naszym życzeniem. Życzliwi jak zawsze

/—/ Adolfo G. Rocca, sekretarz,
/—/ Herman A. Wallace, prezes.

Tłumaczenie zgodnę z oryginałem przesyła:

Wacław Komorowski

CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości ofiarodawców, że z darów na "paczki od serca" ogłoszonych w nr. 22, 23, 24 i 25 "Polski Walczącej" wysłano 316 paczek; 5 paczek odzieżowych à £2.10.0/, 97 paczek żywnościowych /à 10s./ i 214 paczek papierosowych à 1000 sztuk. Imienna lista tych, do których paczki wysłano jest do przejrzenia dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej".

Poradnik żołnierski

Od pewnego żołnierza, ochotnika z Ameryki Południowej, otrzymaliśmy obszerny list, który — jak się spodziewamy — wzbudzi zapewne poważniejsze refleksje u naszych Czytelników-żołnierzy. Poniżej zamieszczamy urywki tego listu:

Wyczytałem już kilka artykułów w "Polsce Walczącej" o Polonii zagranicą. Więc chcę napisać parę uwag od nas — ochotników z Południowej Ameryki. My ochotnicy pragniemy już wziąć udział w walce o naszą Polskę, bo już za długo siedzimy na tej Wyspie, aże nas wstyd i tutejszy naród krzywo patrzy na nas. Myśmy przyjechali do wojska służyć w czynnej służbie. Ja to rozumiem, że może warunki na to nie pozwalają, ale zresztą nasze Władze wiedzą co czynić. Jeno przykre jest to, że nasi koledzy się z nas wyśmiewają: po co my przyjechali, że zachciało się nam wojenki . . .

. . . Dużo jest do napisania na ten temat, ale nie czas dzisiaj na to, my pragniemy wyswobodzić naszych braci w Polsce. Ja jestem starym żołnierzem, przyjechałem na trzecią wojnę. Od przyznania mi kaprala w Polskim Wojsku będę obchodził teraz 25-lecie. Koledzy wyśmiewają się, żem przyjechał za ochotnika uczcić 25-lecie kaprala. To jest przykre, ale ja cieszę się dobrym zdrowiem i choć ja wiele przeżył w tamtych wojnach, to jeszcze mogę coś zrobić, a może i dużo — jak Bóg da. Jestem ochotnikiem od kwietnia 39 roku, na co mam dowód. Chociaż los tak pokierował, że wyjechałem jako żołnierz 4 grudnia 41 roku, to jednak zdążyłem na czas, a teraz, jak i my wszyscy ochotnicy, chcemy walczyć. Pragniemy wyzwolić naszych braci i siostry, co tyle cierpienia przechodzą, i walczyć o silną i niepodległą Polskę, za którą już tyle cierpienia ta droga nam Ojczyzna przechodziła.

Stary żołnierz

* * *

Drogi Kolego! Rozumiemy doskonale Pański żal, że niektórzy żołnierze-koledzy żartują sobie z Pańskich najgłębszych uczuć. Wydaje nam się, że możemy Pana zapewnić, iż postępują tak tylko przez lekkomyślność i po prostu przez psotę. Czy nie zauważył Pan, że wszyscy prawie żołnierze mają taką dziwną skłonność do naigrawania się, czasem nawet do wyszydzania cudzych najświętszych nawet uczuć? Że żołnierze zawsze wolą się śmiać, a jak ognia wystrzegają się roztkliwiania się i rozmazywania? Na pewno jest to tylko taka poza, takie żołnierskie zawadiactwo, bo w głębi duszy każdy myśli tak samo jak Pan, tak samo chciałby Polskę wyswobodzić, męki jej ukrócić, jak najrychlej odnaleźć swoich najbliższych, zostawionych tam w Kraju . . . Jeśli nawet nie każdy tak myśli, to w każdym razie każdy może Panu pozazdrościć Pańskiego pięknego patriotyzmu.

A teraz ostatnie dwa słowa do tych, co to tak lubią szydzić z wszystkiego: Czy nie przychodzi wam czasem na myśl, że najniewinniejszy nawet żart może nieraz kogoś bardzo zaboleć, dotknąć cudzych największych świętości? Pomyślcie też czasem o tym.

* * *

P. Marian Fischbach — Sprawa inwalidów. — List Pański przesłaliśmy do Biura Opieki nad Żołnierzem, które, jak przypuszczamy, wyjaśni Pańską sprawę w referacie dla spraw inwalidzkich Min. Pracy i Opieki Społ.

Zwróciliśmy się również do odpowiedniej instytucji o podanie norm zasiłków przysługujących inwalidom na terenie W. Brytanii i niezwłocznie po ich otrzymaniu ogłosimy je.

Dla Polaków w Rosji: £11,014

W załączeniu przesyłam czek na sumę £23.3.6 na Midland Bank dla P.C.K. na pomoc dla Polaków w Rosji, zebraną podczas Wystawy Fotograficznej "Through Polish Eyes" w Great Malvern. Wystawa ta była 26-tą z rzędu.

Z poważaniem

Paweł Miller

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £23.3.6 /słownie: dwadzieścia trzy funty, trzy szylingi, 6d./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £11,014.7.11 /słownie: jedenaście tysięcy i czternaście funtów, siedem szylingów, 11 d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Do Redakcji,

Niniejszym załączam Money Order na sumę £4.3 1 /cztery funty, trzy szylingi i 1 pens/ jako czysty dochód z zabawy urządzonej przez polski personel R.A.F. Stacji Hucknall w Derby, w Merchant Hall, w dniu 15.6.1944.

Proszę o przekazanie powyższej sumy do Polish Children's Relief Fund i o zamieszczenie w najbliższym numerze "Polski Walczącej" odpowiedniej wzmianki.

Dziękuję z góry oraz proszę o pokwitowanie otrzymania powyższej kwoty.

Z poważaniem

Oficer Oświatowy Stacji
ppor. J.A.

* * *

Wielmożny Panie Doktorze,

Pozwalam sobie przesłać na ręce WP. Doktora kwotę £1, którą złożyła S. Zofia Dominówna ze Szpit. Ewakuacyjnego dla uczczenia pamięci śp. por. Euzebiusza Przybyłka, zmarłego 6.VII.1944, z przeznaczeniem na biedne dzieci polskie.

Jeszcze raz za wszystkie uprzejmości dziękując, wyrazy poważania załączam

sługa w Chrystusie

Ks. K. Pogłódek

Dear Sir,

I am sending these few clothes for some Polish children. I trust you will be able to distribute them through the Polish Children's Rescue Fund.

They are a token of my affection and admiration for your gallant country, and they come with the wish that Poland's freedom will soon be secured against aggressors from the east and west.

Yours faithfully,

Joan A. Seddon

Paczkę z ubrankami dziecięcymi przesłaliśmy do Polish Children Rescue Fund.

W roku bieżącym za pośrednictwem "Polski Walczącej" zebrano na ten cel £544.10.4 /słownie: pięćset czterdzieści cztery funty, dziesięć szylingów i cztery pensy/.

NA PACZKI DLA RANNYCH

Przesyłam w załączeniu czek na kwotę £3 sh.18 d 9 /słownie: £ trzy, sh. osiemnaście, d. dziewięć/ uzyskaną ze składek od żołnierzy . . Kompanii — Batalionu Strzelców Podhalańskich, na zakup paczek dla żołnierzy polskich rannych we Włoszech.

II. Z-ca Dowódcy Batalionu
kpt. M.

Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam znalezioną książkę Z. Nowakowskiego: "Rubikon". Wobec nie zgłoszenia się właściciela — proszę o przekazanie jej na Bliski Wschód.

T.M.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Przesyłam w załączeniu paczkę książek z prośbą o zadysponowanie w/g własnego uznania.

Załączam wyrazy szacunku

F. Kwiatkowski

Załączone: Mszał Rzymski, Nowy Testament, "Vade Mecum żołnierza kierowcy", T. J. Fitikides: "Common Mistakes in English", A. Mickiewicz: "Pan Tadeusz", Bartholomew: "The World Pocket Atlas", "Droga Krzyżowa", Nabożeństwo do Matki Boskiej, "Kolędy".

* * *

Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam 15 książek z przeznaczeniem dla kolegów na Środkowym Wschodzie.

Z poważaniem

"Spadochroniarz"

Załączone: F. Brett Young: "The Black Diamond", Flaubert: "Trois Contes", I. Stablewska: "Milionówka", M. Bogusławska: "Po ojcach spuścizna", R. Vansitartt: "Czarny rejestr", H. E. Bates: "The Fallow Land", L. G. Gibbon: "Grey Granite", M. Synoradzki: "Hetman", E. Ligocki: "Złota chorągiew", Colette: "Chéri", R. Balbaud: "Cette Drôle de guerre", A. P. Valdes: "La Hermania San Sulpicio", A. France: "Le Crime de Sylvestre Bonnard", "Wojna nerwów", "For Men Only".

* * *

Dla żołnierzy Polskich na Wschodzie: S. Żeromski: "Wiatr od morza", M. Dynowska: "Polska w zwyczaju i obyczaju", Majewski: "Kolporter", Porucznik Herbert: "Żądło Genowefy", "W 600-lecie powrotu Grodów Czerwieńskich do Polski".

M. Wróblewski

Na "paczki od serca": £3,602

Redakcja "Polski Walczącej"
w Londynie

W załączeniu przesyłam 1 British Money Order na sumę £15.6.10 /słownie: piętnaście funtów, sześć szylingów i dziesięć pensów/ na pomoc jeńcom polskim w Niemczech. Suma ta została zebrana w miesiącu czerwcu b.r. przez uczniów i personel stały Dyonu Wyszkolenia Przedwstępnego A.C.T.C. w H.

Jednocześnie nadmieniam, iż w ciągu roku t.j. od lipca 1943 r. Dyon Wyszkolenia Przedwstępnego /A.C.T.C./ zebrał na ten cel ogólną sumę £262.8.2 /słownie: dwieście sześćdziesiąt dwa funty, osiem szylingów i dwa pensy/.

Dowódca Dyonu
M.B.

* * *

Na paczkę według załączonego adresu sh.9.3.

Norbert N.

* * *

Por. J.H. ze Sl. za miesiące kwiecień, maj i czerwiec 44 £1.17.6.

* * *

£1.2.0 pozostałe z rozliczenia — na jeńców wojennych wpłacił.

St.Gr.

* * *

Kazimiera Herbichowa zamiast kwiatów na grób siostry ś.p. Marii Starża-Majewskiej, w 4 rocznicę Jej śmierci, składa na paczki od serca dla polskich jeńców £1 /£ jeden/.

With the compliments of Kirbymoorside and District National Savings Committee, £9, being half proceeds of concert by Polish Troops.

* * *

Do Pana Redaktora "Polski Walczącej",

Proszę Pana Redaktora o przekazanie sumy £2 /słownie: dwa funty/ na "paczki od serca", które składam, ku uczczeniu dnia Święta . . . Pułku Ułanów, przypadającego na dzień 27.VII.

płk. F.M.

* * *

Zamiast "strzemiennego" w chwili odejścia ppor. inż. K.Z. koledzy z Haslemere £3 na paczki od serca.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £33.15.7 /słownie: trzydzieści trzy funty, piętnaście szylingów i 7d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Obywatelskiej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,602.15.8 /słownie: trzy tysiące sześćset dwa funty, piętnaście szylingów i osiem pensów/, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

ADMINISTRACJA FON i DARÓW M.O.N., 1, VANDON STREET, LONDON, S.W.1.

zawiadamia, że posiada paczki indywidualne z zagranicy, do podjęcia przez niżej wymienione osoby:

1/ Bajkowski Feliks, 2/ Cieniewicz Jerzy, 3/ Gousland I., 4/ Iwaszkiewicz Aleksander, 5/ Libinowski J.K., 6/ Międzylewski Zelik, 7/ Przybył K.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami, Administracja FON i DARÓW M.O.N. podaje do wiadomości, że paczki nie podjęte w ciągu dwóch tygodni od daty niniejszego ogłoszenia, zostaną potraktowane według obowiązujących przepisów brytyjskich o paczkach niedoręczonych.

Jak najszybsze podanie dokładnych adresów do Administracji FON i DARÓW M.O.N. 1, Vandon Street London, S.W.1, leży w interesie wyżej wymienionych osób, gdyż po upływie terminu żadne reklamacje nie będą mogły być uwzględnione.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

AŻ DO KOŃCA



Hitler: — "Nie poddamy się i walczyć będziemy do końca. Technika zwycięży . . ."

HUMOR SZKOCKI

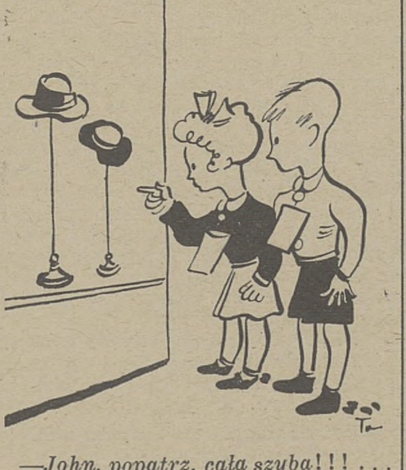
Mówią że większa część Londyńczyków choruje na "śpiączkę" w szpitalu Paderewskiego w Edynburgu . . .

Podobno w Edynburgu pojawiły się napisy w urzędach polskich: "Wszystkie posady zajęte . . ."

ROZMOWA LONDYŃCZYKÓW W EDYNBURGU

—Ooo, co pan tu robi?
—Ja? Przyjechałem. A pan?
—Ja na jeden dzień!!!
—Ja też tylko na dwie godziny.
—Mój panie czy pan nie wie gdzie można by wynająć mieszkanie na jakieś trzy miesiące?
—Właśnie też szukam . . .

DZIECI LONDYŃSKIE W EDYNBURGU



—John, popatrz, cała szyba!!! . . .

OSTATNIA DESKA RATUNKU



Hitler: — Wojnę przegraliśmy. Może pokój jeszcze wygramy . . .

ROZMOWY W LONDYNIE

—Mój panie, które miejsca na północ od Londynu są najbezpieczniejsze?
—Na północ??? Tylko dzielnice Glasgowa i Edynburga . . .

W K.U.

Gdy urlopowany kapral wraca do wojska:
—Spadł nam pan jak z nieba i wobec takich kwalifikacji — przydzielam pana do Brygady Spadochronowej . . .

ŚWIAT NA OPAK

—Gdzie mieszkają obecnie najbogatsi ludzie w Londynie?
—W suterynach ! ! ! . . .

AUTENTYCZNE

Ulicą Victoria Street w Londynie idzie mały Andrzej w towarzystwie matki. Nagle zatrzymuje się przed uliczną latarnią.
—A cio to jest?
—Latarnia, syneczku.
—A do ciego ona służy? . . .

POMYSŁOWY



—Co pan tu robi?
—Czekam na torpedę. Nie słyszy pan, że brzęczy . . .

"DOWCIP" PIECHOTY

—Pan wie, że tylko kawalerzyści mają prawo wrócić do kraju?
—Dlaczego?! Skąd te przywileje? . . .
—Ponieważ w kraju tępiona jest inteligencja . . .

W KOMENDZIE UZUPEŁNIEŃ

—Kto pan jest? Zawód?
—Papiarz?
—Co pan zwariował? Papież jest w Rzymie!
—W żymie to ja jestem blacharz, w lecie to robię w papie . . .

W EDYNBURGU

—Czego pan ziewa?
—Jestem niewyspany! Wczoraj ogłosili jednominutowy alarm próbny . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Anglicy kochają się w zagadkach. Specjalnie radio przynosi ostatnio bardzo wiele takich zagadek-żartów. Podajemy parę zagadek podsłuchanych w BBC /odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika/.

a/ Dwaj cykliści jadą po prostej drodze naprzeciw siebie z odległości 20 mil z szybkością 10 mil na godzinę. Równocześnie z nimi wylatuje mucha lecąca z szybkością 15 mil na godzinę. Mucha dolatuje do jednego cyklisty, odbija się od jego głowy leci do drugiego, znowu odbija się mu od głowy, leci z powrotem i t.d. i t.d. tak długo aż cykliści, którzy zjeżdżają się w połowie drogi zgniatają ją na śmierć. Ile mil przeleciała mucha?

b/ Jeśli doktór zapisze ci trzy pigułki do zażycia co pół godziny, na jak długo ci wystarczą?

c/ Co będzie kosztować taniej: czy jeśli zaprowadzisz jednego przyjaciela dwa razy do kina czy dwu przyjaciół jeden raz?

Jakiś samolot wpadł do morza u brzegów Norwegii. Jeden z rybaków pojechał w swej łodzi na ratunek. Wrócił sam.
—"To Niemcy", rzekł.
—"Czy nie żyli?" spytano go.
—"Jeden powiedział, że żyje, ale wy wiecie jak ci Niemcy kłamią".

* * *

Paderewski grał raz przed królową Victorią. Zachwycona królowa wezwała go do siebie i powiedziała: — "To było piękne! Pan jest geniuszem!" — "Być może, jej królewska Mości" — odrzekł Paderewski — "ale zanim zostałem geniuszem, byłem kujonem".

/d/

* * *

ODPOWIEDZI: a/ 15; b/ Na godzinę; c/ Dwu przyjaciół jeden raz, bo wtedy kupujesz dla siebie tylko jeden bilet.

/d/

Zarząd Związku Ziem Północno-Wschodnich zawiadamia, że w związku z urlopami letnimi w czasie od 15 lipca b.r. do 15 sierpnia b.r. urzędowanie w lokalu Związku na 45, Belgrave Square odbywać się będzie trzy razy w tygodniu, w poniedziałki, środy i piątki od godziny 16.30 do 18-ej po południu.

SPIS RZECZY:

KOMUNIKAT

Wobec zawiadomienia Związku Kolejarzy Polskich, pismem z dnia 15 lipca b.r. L.Dz.3258/W.Pol./44, przez Ministerstwo Obrony Narodowej o zezwoleniu żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na należenie do Związku Kolejarzy Polskich w Wielkiej Brytanii, Koledzy, którzy dotychczas nie zarejestrowali się, zechcą nadesłać swe zgłoszenia do Związku Kolejarzy Polskich w Wielkiej Brytanii — 54, Sloane Street, London, S.W.1.

Ukazał się drugi zeszyt czasopisma poświęconego zagadnieniom wychowania w Polskich Siłach Zbrojnych

GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE

Numer zawiera: Słowo od redakcji; Dowódca wobec psychiki ludzkiej — Konny Artylerzysta; Psychologia rozkazu — dr. T. S. Offert; Wyjątki z literatury, Przegląd obcej literatury wojskowej; Listy do redakcji.

Cena 1sh.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.